



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 5 LIPCA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

TREŚĆ NUMERU:

Inteligentki zawodowe a rękodzielniczki i pracownice fizyczne — *Al.* Nie marnujmy darów lata — *M. Domańska.* O kasę im. Mianowskiego — *M. Dąbrowska.* Tajna praca oświatowa w latach niewoli pod zaborem rosyjskim (dokończenie) — *C. Niewiadomska.* Świat Kobiety (feljeton) dokończenie — *Marja Grossak-Korycka.* Z Horacego (wiersze) — tłum. *Zofja Szmydtowa.* Prawda (dokończenie) — *S. Czosnowski.* Drogami duszy (powieść) c. d. — *Helena Ceysingerówna.* Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — *K. Bielańska.* Wystawa żeńskiego szkolnictwa zawodowego (dokończenie) — *H...a.* Na polach pracy i twórczości. — *H...a.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *A. Parasol* — *al.* Żywnienie drobiu — *M. Morżkowska.* Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta.* Książki nadesłane. Dodatek powieściowy: 1) Absolut (dokończenie); 2) Wyznanie — *Ada Negri* (autoryzow. przekł. z włoskiego *R. Centnerszwerowej*). Dodatek robót i ubiorów.

Inteligentki zawodowe a rękodzielniczki i pracownice fizyczne

Wojna i okres powojenny trzykrotnie zmieniły warunki bytu sił roboczych umysłowych i fizycznych.

Po wyjściu Moskali z b. Królestwa Polskiego w 1915 r. setki tysięcy ludzi zostały bez pracy. Bezrobocie szczególnie dotkliwie dało się uczuć inteligencji, zwłaszcza kobietom i tym grupom mężczyzn, którzy byli bądź niezdolni do wojska, bądź nie odpowiadali mu wiekiem. Armja pochłonięła młodzież i ludzi dojrzałych. Starsi robotnicy — co silniejsi — szli do okopów. Bez środków do życia został świat urzędniczy i zawody wolne: lekarze, adwokaci, którzy stracili praktykę, bo nikt się nie leczył i nikt nie procesował, inżynierowie, którzy nie mieli co robić wobec zamknięcia fabryk, sędownicy i t. p. Żony ich stawały przy kominie i balji. Same gotowały, same prały, same sprzątały i szyły. Ręce nieprzyzwyczajone dźwigały ciężkie kosze z miasta, pchały wózki z dziećmi na spacer.

Rękodzielniczki głodowały też wówczas, bo ustała robota w najzasobniejszych pracowniach i w szwalniach dla wojska. Czasami — przez protekcję — ktoś cichaczem dostał reperację w szpitalu dla wojska; pozatem — Niemcy zatrudniali tylko swoich.

Służba domowa, praczki, posługaczki szły do okopów.

Zamknięto większość biur prywatnych, zniesiono telefony, importem z Niemiec obsadzono telegrafy i poczty.

Z pośród byłych urzędniczek te, które miały jakiegokolwiek zasoby i z musu tylko uprawiały swój zawód, przystąpiły do nauki nowego fachu.

Towarzystwo zawodowego kształcenia kobiet notuje z tego czasu grupy telefonistek, które przerzuciły się na ochroniarstwo i stanowią dziś bardzo wybitne siły w tym kierunku, a nawet — przy stopniowym dokszał-

caniu się — doszły do hierarchji nauczycielek ludowych

Lata okupacji były ciężkie zarówno dla inteligentek, jak i dla pracownic fizycznych. Te ostatnie jednak — o ile która miała jakiegokolwiek zasób dla zakupowania towaru — dopomagały sobie szmugłem, który zbożgał całe liczne rodziny.

W 1918 r. odwraca się karta. W wolnej Polsce każdy znajduje chleb. Lecą z pod maszyn pieniądze. Co będzie za rok, dwa, cztery lata? — Może potop!?... Mniejsza, aby odechnąć po trzech latach nędzy.

Panie inżynierowe, doktorowe, adwokatowe, sędziny rzucają balje i miotły, aby zasiąść przy biurkach ministerjalnych, przy których zasiedli też mężowie ich, o trzy, cztery, pięć stopni wyżej. Lepszy papier, pióro lub wreszcie choćby terkotliwy Remington, aniżeli parzenie rąk przy kotle i garnkach. Państwo niech daje tyle, aby starczyło w każdym do-

mu na służącą, praczkę i szwaczkę. Pan naczelnik i pani naczelnikowa razem zarabiają tyle, że ciężar gospodarstwa może spaść na osoby trzecie.

Od tej chwili zaczyna iść w górę opłata służby domowej, praczki i szwaczki, przyczem ta ostatnia kalkuluje się lepiej na dniówki w domu, aniżeli przy oddawaniu roboty poza dom.

Kapłanki ognisk, wyrzucone z piekła przyziemnych zajęć, zarabiają, flirtując przy biurku jedna z drugą lub z kolegą sekretarzem, referentem, dyrektorem departamentu. Każda z nich ciągnie za sobą ogony sióstr, przyjaciółek, kuzynek, które bądź z potrzeby, bądź dla powiększenia liczby kapeluszy, pantofelków modnych, perfum, chusteczek, sięgają po nominacje ministerjalne.

Szwaczka i pracownica fizyczna, czując, że jest nieodzowna, z dniem każdym podbija się w cenie.

Rok 1920 wysadza z siodła wszystko i wszystkich. Od biurka, od igły, od balji rwą się ręce z groźbą przeciw najeźdźcy, który już staje pod murami stolicy.

Odpędza go zbiorowy wysiłek inteligencji i robociarzy. Ale nazajutrz

po glorji Radzymińskiej wraca, co było: panie do flirtu przy biurkach, praczki, szwaczki, służba domowa do porastania w pierze przy podbijaniu cen.

A w międzyaktach z wczorajszych nędzarzy wyrastają w ciągu jednej nocy magnaci i skupują pałace i zaopatrują się w służbę, stałe praczki i szwaczki. Płacić, ile zechcą, aby były!...

A nad głowami pań, które flirtują przy biurkach, zawisa miecz Damoklesa. Przychodzi koniec 1923 r. Premier Grabski albo uzdrowi skarb drogą redukcji, oszczędności, podatków, albo runie Polska...

Znikają dekolty i utlenione czuprynki z przed biurka ministerjalnych. Ale zostawiają po sobie — może na długie lata — klątwę.

Precz z pracą kobiet!

Redukcje objęły całą Polskę, a przedewszystkiem siły kobiece.

Za dekolty, muszki, fryzowane główki ministerjalnych „aniołów” pokutują całe rzesze tych, co chcą, umieją i potrzebują pracować.

Do biur nie przyjmuje się kobiet!...

Klątwa z listopada 1923 r. wzmacnia się z każdym dniem miesiąca. Zostają na urzędach państwowych i pry-

watnych te prawdziwe nieodzowne. poważne biuralistki, bez których zachwiałyby się rusztowanie pracy.

Bywa, że... przez niedopatrze... zasiada gdzieś jeszcze przy biurku pani vice - prezydentowa, przyjeżdżająca powozem pana vice - prezydenta na parę godzin dla wypalenia papierosa i przejrzenia dwóch, trzech papierów... Bywa, że ktoś najmniej potrzebujący, a niewykwalifikowany zabiera miejsce głodnym, zbiedzonym, a rutynowanym siłom, które miesiącami próżno zabiegają o pracę.

1924 rok zaczął się od anatemy na inteligentki polskie. Te, które cudem dorwą się do t. zw. „posady” prywatnej, zarabiają od 150 do 200, 300 milionów najwyżej miesięcznie za siedmio, ośmiogodzinny dzień roboczy.

A szwaczki, praczki?

Jeżeli do przeciętnego wynagrodzenia ich — 10 milionów dziennie — dodamy koszt wyżywienia — co najmniej pięć milionów na dobę za każdą, — to otrzymamy sumę, przewyższającą o połowę wynagrodzenie najlepiej płatnej dziś, wykwalifikowanej i rutynowanej biuralistki prywatnej.

41.

NIE MARNUJMY DARÓW LATA

Życie, jakie prowadzimy po wielkich miastach — przez znaczną część roku — a często i przez rok okrągły — tak daleko odbiega od najprostszyc wymogów higieny — od ram zakreślonych przez przyrodę każdemu żywemu stworzeniu, że dziwić się należy żelaznej odporności ludzkich organizmów, które w tych warunkach nie tylko żyć — ale i pracować intensywnie potrafią. Może to zresztą w wielu wypadkach — nie życie, ale egzystencja — i nie odporność, ale umiejętność przystosowania, nabyta z konieczności. Żywy organizm potrzebuje powietrza: czy można nazwać powietrzem ten emalgamat licznych ludzkich odruchów, wyziewów wszelkiego rodzaju, dymu tytoniowego, jakim oddycha się przez większą część dnia w biurach, urzędach, szkołach? — Czy powietrzem jest ta mieszanina kurzu, swędu samochodów, jaką się wdycha na ulicy?

Organizm żywy potrzebuje słońca: są mieszkania tak zbudowane, że żaden promyk do nich się nie przedostanie i są ludzie, których godziny zajęć są tak rozłożone, że nie oglądają nigdy jasnyc, słonecznych godzin dnia.

Organizmowi potrzebny jest wreszcie pokarm zdrowy: a my spożywa-

my tyle zatrutych i sfałszowanych produktów.

To też przerażenie ogarnia, gdy wielkie miasto wyrzuci na plażę morską okazy, przez siebie wychowane, gdy tam można oglądać w całej szczeroci strojów kąpielowych — te zwyrodniałe okazy ludzkiego rodu, rachityczne dzieci o wydętych brzuskach, niewiasty, opłynięte falami tłuszczu, zniekształcone i fizycznie niedołążne, mężczyzn o cerach ołowianych, o wąskich ramionach, pochylonych plecach i wklęsłych piersiach... Charłactwo i zwyrodnienie we wszelkich odmianach — Na to aby naprawić liczne błędy, popełnione przeciw naturalnemu trybowi życia, na to, aby nabrać zapasu zdrowia, energii, sił — niezbędnych do dalszej pracy — mamy tylko zazwyczaj kilka — czasem parę — tygodni letniego wypoczynku. Samo lato — bądź to spędzone na wsi, bądź nad morzem, bądź w górach, hojnie nam przynosi we wspaniałych darach — leki na niezliczone nasze fizyczne braki: nieporównaną życiodajną siłę słonecznych promieni, kipiącą energją przyrody w rozkwicie, zwiększoną ilość ozonu w powietrzu, odżywczą moc świeżyc pokarmów roślinnych i uzdrawiającą siłę przeróż-

nych kąpiei. Aby wyzyskać jaknajintensywniej te nieoszacowane dary, potrzeba i pewnej umiejętności i systematyczności. Potrzeba przede wszystkim zerwać z bezmyślnością, z rutyną życia, ze złemi nałogami sztucznego, wielkomiejskiego trybu.

Uzdrowiska o nowym typie, jak Lahmana w Saksonji, jak Kosów dr. Tarnawskiego, opierają się na głównej zasadzie: powrotu do życia wedle przyrody, zwalczania nabytych złych przyzwyczajęń wielkomiejskich. A więc przede wszystkim zmiana całego trybu: zmiana zajęć, zmiana pożywienia, zmiana stroju. Rezultaty są wprost zdumiewające: Ludzie wracają stamtąd skąpani w odżywczych zdrojach młodości i energii, w pełni nowych sił, a nawet wskrzeszonej piękności.

Ci, którym nie dolega żadna chroniczna choroba, ci, którzy nie potrzebują lekarskiej opieki ani obostrzonych regulaminów, mogą sami przeprowadzić taką cudowną kurację, wszędzie gdzie się będą znajdować w lecie.

Nie przyczyni to żadnych kosztów, wymaga tylko nieco pilności, a znajomość własnego organizmu pozwoli przystosowywać ją do poszczegól-

gólnych wypadków. Wszystko to jest zresztą takie proste i naturalne, wskazane przez zdrowy, niespaczony instynkt życia, zgodne z odwiecznymi zasadami przyrody.

Oczywiście, że nie należy wybierać wówczas miejscowości modnych, gdzie z małymi odmianami, prowadzi się w dalszym ciągu tryb życia stołecznego, gdzie dancingi, prezentacje strojów, kilkakrotna ich zmiana w ciągu dnia — jest na porządku dziennym. Szukać należy cichych zakątków, nie zbanalizowanych jeszcze napływem mieszczuchów, gdzie nikt i nic nie zamąci swobody życia—a zwłaszcza ubiorów.

Przedewszystkiem, wyjeżdżając gdzieś „dla świeżego powietrza“, należy postawić sobie jako zasadę, że z tego powietrza i z łaski słonecznych promieni — tak skąpej w naszym klimacie — trzeba jednak korzystać. Trzeba oczyścić zakurzone, zanieczyszczone płuca, trzeba wchłonąć każdym atomem ciała — dobrodziejstwo słońca—aby móc przetrzeć wilgotną szarość posępnych dni, zabijających energję, niosących depresję ducha. A tymczasem iluż to letników — a zwłaszcza letniczek — spędza najpiękniejsze godziny dnia, z zasłoniętymi i zamkniętymi szczelnie oknami, w obawie przed muchami—i słońcem! Dopiero po zachodzie słońca, gdy ukończymy już całodzienny poemat letniego dnia, odważamy się wysunąć na świat Boży! Tracą dobrowolnie czarowne chwile tętniącego potęgą życia — rozkwitu przyrody, gdy tak wspaniale byłoby zanurzyć się w ten war bujności, aby choć drobną jego cząstkę—wchłonąć w wyczerpane własne ciało.

W lecie należy tylko sypiać w mieszkaniu—i to przy otwartem

oknie, wszelkie zaś inne zajęcia, ząwszy od jedzenia, czytania, pisania, szycia, wykonywać można na powietrzu, krótko mówiąc mieszkać pod gołym niebem, o ile tylko słońca nie stoi na przeszkodzie, jak to bywa zbyt często.

Aby jednak dobrodziejstwo słońca i powietrza było zupełne, nie trzeba im tamować przystępu, Niech to biedne, więzione, udreżone ciało skąpie się całe w ich atmosferze! — Oczywiście niema tu mowy o kąpielach słonecznych, powietrznych i wodnych, do tych potrzeba zdania i opinii lekarza specjalisty, chodzi tylko o odrzucenie wszystkiego tego w ubiorze, co krępuje i przeszkadza ciału oddychać w całej pełni. W Koszowie u dr. Tarnawskiego panują pod tym względem surowe przepisy: pacjentki zarówno mężczyźni jak i kobiety noszą tylko płócienne ubrania, przewiewne i nie przejryste, krótkie do kolan, odsłaniające szyję i ramiona — a na bosych nogach — trepki czy sandały. Nikogo to nie razi i nikt się temu nie dziwi. Ciało oddycha swobodnie, słońce przenika cienką tkaninę. Wprost nadzwyczajne orzeźwienie, po dniu spędzonym na powietrzu i słońcu, w takim lub podobnym stroju — nie daje się z niczem porównać. A cały szereg dni takich—to powrót zdrowia, młodości, energii u najbardziej szarpniętych nerwowo i fizycznie. Parasolki, rękawiczki, woalki, pończochy i cały balast bielizny zbytecznej — powinny zniknąć na czas letniego wypoczynku. Wdzięczna moda dzisiejszych „robes-chemises“ znakomicie upraszcza stworzenie higienicznego letniego kostjumu dla pań. Ze zmianą ubioru idzie zmiana pożywienia: i tu organizm sam wskazuje czego mu potrzeba. W lecie ogarnia wstręt do

tłustych, ciężkich mięsnych potraw, do pieprzonych wędlin i ostrych konserw: organizm łaknie świeżych jarzyn i owoców, przepojonych słońcem, zachowujących w sobie bezpośrednio jego energję. I za temi wskazaniami winien iść wybór pożywienia. Nic tak nie odświeża, jak zmiana racjonalna zwykłego menu, nic tak nie wpływa na świetność cery i wyglądu.

Aby wypoczęło nietylko ciało, ale i nerwy i umysł przepracowanych inteligentów, trzeba zmienić rodzaj zajęcia. Biurko, pióro i książkę zastąpić jakąś pracą w słońcu i powietrzu, w zetknięciu z przyrodą.

Tych, co przebywają na wsi, a są dość silni i zdrowi na to, pociągnie z pewnością wspaniała praca około żniw i sianokosu, to prawdziwe święto lata w słonecznej glorii, wśród szerokiego oddechu pól, umiłowana chwila roku dla polnej duszy słowiańskiej, kipiąca warem pięknej pracy i zdrowego znoju.

Dla słabszych pozostaje praca o mniej szerokim rozmachu, lecz niezrównanie miła i wdzięczna—wszelka praca ogrodnicza, albo zbieranie jagód, grzybów, ziół wśród uroku leśnych przestrzeni i aromatów.

Dużo powietrza, słońca, wiejskiej ciszy, prostota ubioru i pożywienia — tylko tyle—a umiejętnie wyzyskane te warunki, każdemu niemal dostępne, niosą ze sobą cudowną odnowę życiowych i nerwowych sił. Tkwi w nich tajemnica długo zachowanej młodości, zdrowia, energii, tak nam potrzebnej wśród szarpiającego i intensywnego życia współczesnego.

Nadeszło nowe lato—nie marnujmy jego darów.

M. Domańska

O KASĘ IM. MIANOWSKIEGO

Olsnieni nanowo własnym państwem, zbyt pobłażliwi dla jego rządu, tam gdzie chodzi o istotne jego obowiązki, zaczęliśmy od niego zbyt wiele wymagać w innych sprawach. Rząd powinien, naszym zdaniem, wszystko popierać, wspomagać, organizować. Jeżeli czegoś u nas niema, jeżeli coś upada, zwija się, lub jak to mówią kuleje—juścić to wina Państwa. Rząd nie dał kredytu, rząd nie zaopekował się, rząd powinien był—bo gdyby rząd—bo jest obowiązkiem rządu — rząd cofnął kredyty. Cofnął subsydja... Poczawszy od multimiljardów, właścicieli fabryk i banków, aż do ubogich założycieli instytucji oświatowych i kulturalnych, u wszystkich, a u wszystkich te słowa budzą takie same uczucia oburzenia, popłochu, nieomal zgrozy.

Jest to naturalnie, rzecz prosta, nieporozumienie, z którego coraz więcej ludzi zdaje sobie dziś, na szczęście, sprawę.

Wymagania wobec rządu powinny iść w całkiem innym kierunku. Rząd nie tylko nie może podolać tym wsparciom pieniężnym, ale nie powinien wcale tym wszystkim rzeczom podolywać. Kto wie, czy duża część przeważających kłopotów finansowych, w jakie nasze młode państwo popadło nie płynęła także i z tego, że każde przedsięwzięcie, każda budowa jakiegokolwiek nowej rzeczy zaczynała się od prośby o subsydjum, pomoc, poparcie rządu.

Za cenę tej opieki nad swemi poczynaniami, społeczeństwo wyrzeka się tego, co jest jego najcenniejszym skarbem—swej rzutkiej, osobistej niejako samodzielności. Wśród tej rządowej pomocy i opieki zatracą się indywidualna i zbiorowa, społeczna zdolność do ryzyka, ginie poczucie odpowiedzialności, słabnie zaradność i umiejętność tworzenia z niczego, jak to mówią, rzeczy wielkich i pięknych. Gubi się więc to wszystko

właśnie, co jest zakładem jutra, sprawdzianem wartości narodu, największą ostoją mocy tegoż właśnie państwa.

Stoimy wobec takiego faktu zachwiania się w swym bycie bezcennej i czcigodnej instytucji — z przyczyny cofnięcia subsydjum rządowego.

W położeniu tem znalazła się kasa im. J. Mianowskiego. Coprawda ta pomoc rządowa pozwalała Kasie Mianowskiego zaledwie wegetować i przetrzymywać ciężkie chwile, oczekując jakiegoś lepszego jutra.

Lecz oto obecnie nawet to zredukowane trwanie zostało wysoce zagrożone. Ręce, które utrzymywały tę instytucję nad przepaścią zagłady usunęły się i rzecz została niejako złożona w ręce inne, w ręce społeczeństwa.

Czyż to ręce — ręce nas wszystkich rozewrą się bezwładnie, bezmyślnie i obojętnie, pozwalając upaść rzeczy wielkiej i nieodzownej.

A gdy to nastąpi, czy wystarczy nam oburzenie, że ginącej sprawy nie uratował rząd?

Ażeby do tego nie dopuścić, ażeby kasę imienia Mianowskiego doprowadzić przynajmniej do tego poziomu, na jakim była, o zgrozo, w czasach niewoli, Stefan Żeromski, zwrócił swoje przepiękne słowo, brzmiące jak nowoczesne kazanie Skargi, do polskiej arystokracji. W broszurce p. t. „Sprawa Kasy im. Mianowskiego” zwraca się do tych, co dzierżą w Polsce największe fortuny i największe ongiś nazwiska, przemawia do ich ambicji, do ich dawniejszej dumy i miłości ojczyzny, aby przeciw dźwignęli i utrzymali centralną instytucję nauki polskiej—ku chwale ojczyzny i rehabilitacji własnych, tak codziennych przecież niej grzechów.

Znakomity pisarz czyni to słowy, któremi kamieńby się wzruszył, słowy ponurych prorocत्व, któreby zdolne były przerazić niemą głębę na polu—ale czy mowa ta wstrząśnie sercami tych ludzi? Czy celowem było do nich właśnie przemawiać?

Na dnie serca najbardziej wątpiącego istnieje zawsze wiara w człowieka — więc trzeba wierzyć, że może duch obywatelski ocknie się na skutek tych słów w wielkopolskim pokoleniu.

Obawiam się że kasa Mianowskiego i ci wszyscy, którzy w jej imieniu kołaczą do naszych kieszeni i sakiewek, muszą się obrócić do wszystkich—do nieprzeliczonej gromady posiadaczy wdowiego grosza.

Piękna więc broszurka Stefana Żeromskiego pozostanie jednym z groźnych „J'accuse” — jakich dzieje ostatnich lat nie skąpią tym, do których raczył mówić.

Lecz czy ci wszyscy, do których się zwracamy z ufnością—przyjdą? Czy sprostają zadaniu? Staną na jego wysokości? Czy do ponurego przeświadczenia, że Żeromski nie mówił do głuchoniemych, nie trzeba będzie dodać postokroć gorszej wątpliwości, że może głuchoniemą jest większość narodu?...

Przekonamy się o tem wkrótce, przekonamy się o tem już niedługo.

Bo oto kasa im. Mianowskiego rozesłała już swe wezwania po miastach i miasteczkach Polski.

Rzuczone zostało wielkie zapytanie i nie można mieć innej nadziei, jak tylko to, że odpowiedzą wszystkie usta — że ilu ludzi czytało to wezwanie, tylu członków wspierających już kasa im. Mianowskiego posiada. Czyż to jest wymaganie ponad siły żywego narodu?

Kilka zł. pol. składki rocznie, przesłane blankietem P. K. O.

Ale to jest przecie poniżej wszelkich wymagań. Możemy przecie zrobić coś o wiele ponadto.

Wspomnijmy sobie, jak wspaniale, jak pysznie udaje się dziś jakaś jedna przyjacielska uczta składkowa. Czy kiedy zawodzi nas składka, dla przyjemności kilkudziesięciu osób zebrana?

A tu wszak chodzi o coś olbrzymiego, chodzi o utrzymanie się na poziomie cywilizowanego narodu. Żeby ten dorobek raczej rozwinąć, jak na niepodległy naród przystało, musimy zrozumieć, że dziś rozwój nauki polskiej jest tem dla istnienia i trwałości naszego państwa, czem w 18-ym wieku było dla niego stworzenie silnej armji

Wojna dzisiejsza, wojna przeszłości staje się coraz mniej wojną mięśni—a coraz bardziej wojną inteligencji, walką rozumów i zwyczajnych rezultatów nauki. Więc jeśli nam kiedy znów zagrożą sąsiedzi—to nie uratuje nas nic, gdy wiedza nasza będzie nisko stała.

Upadek każdej instytucji, która służy do badania naukowego i popierania wiedzy—to jest, jakbyśmy stracili tyle samo obronnych twierdz.

A oprócz tego, czyż są jeszcze tak prości, tak tępi ludzie, którzy nie wiedzą, że nauka zdolna jest pomnożyć dobrobyt wszystkich? Ona doprowadza w swój cudowny sposób, do lepszego wykorzystania każdej piędzi ziemi, do zawładnięcia siłami przyrody, do uczynienia każdej roboty sto razy wydajniejszą i lepszą.

Czyż ponadto nie chcemy widzieć, że tylko nauka jest w stanie rozbudzić w nas twórczość, wynalazczość i uczynić i nas pożytecznymi dla całego świata.

Dziwimy się tak często i pytamy, czemu kraje o tyle, jak nam się w chełpliwej dumie wydaje, niżej stojące od nas charakterem obywateli, moralnością publiczną, cieszą się jednak w świecie większym od nas kredytem, uznaniem, sympatją,—odnoszą o tyle większe powodzenia w polityce międzynarodowej.

Dzieje się tak dlatego, że przynoszą one światu konkretne wartości. Są to albo niewyczerpane surowce, albo też nader doskonale wykonane

przedmioty i wynalazki techniczne, które przydatne są innym, które popychają dobrobyt innych krajów naprzód. My surowców nie mamy tyle, by z tego względu być przedmiotem przyjaźni obcych, ani też tak pierwotni jesteśmy, byśmy ich sami zużytkować nie chcieli. Lecz, niestety, niski stopień nauki w Polsce nie pozwala nam udo konalić naszej produkcji; nie pozwala nam również zajaśnieć wynalazkami w dziedzinie techniki—do tego stopnia, abyśmy stali się pożądanymi i potrzebnymi dla świata. Nie bądźmy tak bardzo zarozumiali, nie sądzmy, że przynosimy światu jakieś osobliwe bogactwa ducha. Inni mają je także, a piękno ducha poznaje się po czynach. I czynów tych, które mogą być przyswojone przez świat i pomagać całej ludzkości kroczyć naprzód—nie dosyć jest dwa, trzy — lub nieco więcej na przestrzeni całych wieków historii.

Trzeba ciągle, bez ustanku iść na równi z innymi i wciąż się wysilać, by stwarzać ulepszenia życia — dobre dla wszystkich—mogące stać się własnością świata. Spójrzmy naokoło. We wszystkich sprawach życia od najmniejszych do największych, jak to na każdym kroku codzień korzystamy z ulepszeń, z udogodnień, z wynalazków, które zrobiły inne narody.

A teraz spojrzmy dalej po świecie, z ilu naszych wynalazków, naszych dzieł twórczych korzystają te inne narody.

W dziedzinie cywilizacji życia społecznego nie znajdziecie prawie imienia narodu polskiego.

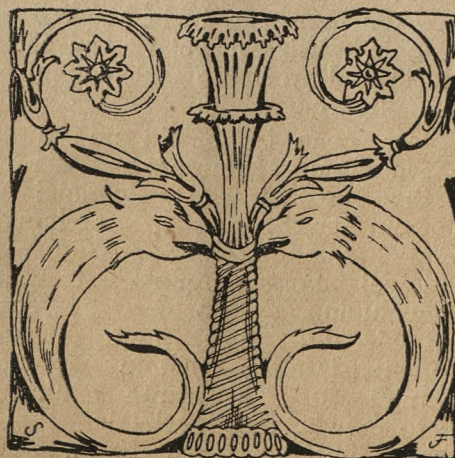
Za to w dziedzinie najwyższej nauki i wysokiej twórczości, znajdziecie imiona wielkich Polaków z Marją Curie-Skłodowską na czele, którzy na obczyźnie dokonali odkryć, wywołujących przewroty w nauce i technice życia. Jest to wielkie świadectwo, że my do takich dzieł twórczych, opartych na nauce jesteśmy nie mniej zdolni niż wszyscy—lecz, że jako naród, jako zbiorowość nie kochamy nauki, nie potrafimy stworzyć warunków dla jej bytu, dla jej rozwoju — tu, w ojczyźnie.

Wielcy uczeni i odkrywcy polscy musieli prowadzić swe studia zagranicą i wszyscy, którzy zdobyli sławę światową—zdobyli ją za granicami kraju.

Mogliśmy się w tym względzie długi czas wykręcać niewolą, lecz gdy dziś, po pięciu latach niepodległości, stosunki te się prawie wcale nie zmieniły—uderzmy się w piersi i powiedzmy, że jesteśmy potrzykroć winni.

Takie rzeczy muszą się skończyć.

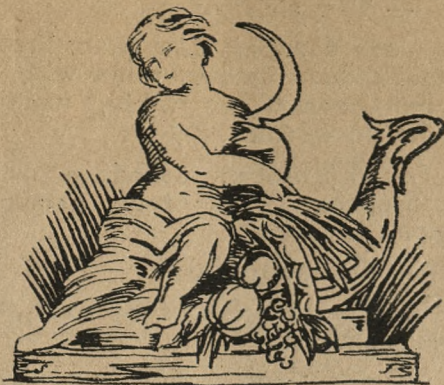
Instytucja taka, jak kasa imienia Mianowskiego, musi mieć możliwość popierać badania naukowe ze wszelkich dziedzin, wydawać naukowe dzie-



ła, stwarzać instytucje naukowe, laboratorja, muzea, poświęcone różnym gałęziom wiedzy. Musi udzielać stypendjów młodym uczonym i wszelkiej pomocy genialnym uczonym. Chcemy od niej nadto, żeby stworzyła dla uczonych instytut pracy w rodzaju Brukselskiego instytutu Solveya, ufundowanego z prywatnych środków tego jednego tylko przemysłowca. Żeby wydała wszystkie potrzebne w Polsce słowniki—wielką polską bibliografję—systematyczną bibliotekę retrospekcyjną nauki polskiej, o której dziejach prawie nikt z nas nic nie wie. Żeby stworzyła zakłady dla polskiej wiedzy lotniczej i chemicznej, żeby się stała krynicą, z której tryska płomieniem skrami wiedza, twórczość naukową

wynalazki—siła, potęga, wielkość nowoczesna narodu.

Na to wszystko musimy tej instytucji, która ponadto ma za sobą



wielką zasługę umożliwiania Polakom pracy naukowej w czasie niewoli—musimy tej instytucji nie poskąpić swych środków. Bo jeśli dziś pożalujemy pieniędzy na rozwój nauki i wiedzy, nadejdzie prędko dzień, gdy nie będziemy mieli za co kupić chleba.

Jeśli nie będzie kwitnąć i rozwijać się wśród nas ta siła, dźwigająca ludy w ponadludzkie niemal wyżyny, dająca im w ręce Boską moc — to prędzej czy później staniemy się znów zależni od tych, co rozkwit badań i wiedzy postawili na czele swych prac.

M. Dąbrowska

Tajna praca oświatowa w latach niewoli pod zaborem rosyjskim

2)

W ten sposób pracowałyśmy przez lat kilka, wewnątrz koła jednakże wzrastało wciąż tarcie sprzecznych dążeń i prądów. Z jednej strony Ciszkiewiczowa, czujna, energiczna, stanowcza, otoczona wymownym sztabem,—z drugiej—równie dzielna i niezachwiana Sempołowska, która jednak pojmowała nieco inaczej niż my ideały wychowawcze.

Nakoniec przyszedł rozłam w r. 1900 lub 1901. Najmniej chyba przyczyniam się do tego, zgnębiona aresztowaniem brata i przyjaciół, przejściami osobistymi. Po mimo to na mnie padło oskarżenie, że ten rozłam spowodowałam, niesłusznie prawie w ostatniej chwili złamano mój opór.

Większość została przy Ciszkiewiczowej i jeszcze przez czas jakiś istniałyśmy jako samodzielne niby „Koło Kobiet Polskich”, lecz stopniowo zlewałyśmy się coraz wyraźniej z niedawno zawiązanym przez Ligę Narodową Towarzystwem Oświaty Narodowej (T. O. N.).

Ciszkiewiczowa wygłosiła zdanie, że nie mamy racji pracować oddzielnie jako kobiety polskie. Naród składa się z kobiet i mężczyzn, praca narodowa powinna być wspólną, to jej da większą siłę i energję, stworzy przed nią nowe drogi.

Miała słuszność.

II

Powstanie T. O. N. w pracy oświatowej było krokiem naprzód wielkim i poważnym. Podczas tworzenia liczne głosy członków proponowały połączenie w tej organizacji wszystkich grup oświatowych, bez względu na nieuniknione różnice przekonań. Nie przyszło do tego,—może było to niepodobieństwem, zdawało mi się jednak, że przy wzajemnej wyrozumia-

łości mogliśmy stanowić jedność. Wszakże wspólnie pracowaliśmy w r. 1998 w stulecie rocznicy urodzin Mickiewicza i odsłonięcia pomnika w Warszawie. Sprowadzono z całego kraju około 300 przedstawicieli chłopów drobnego mieszczaństwa, urządziliśmy dla nich wspólne wilje z gorącymi przemówieniami, deklamacją, śpiewem i t. p., i nikt nikomu nie brózdził że się ta uroczystość powiodła, zawdzięczamy to przypadającej jednocześnie wigilii prawosławnej, co odwróciło od nas szczęśliwie uwagę. A zjazd musiał zostawić wspomnienia, był niewątpliwie jednym z silnych węzłów, łączących naród w jedną wielką całość.

T. O. N. nie zburzyło pracy „Koła Kobiet”, lecz poparło ją silnie, zwłaszcza na prowincji i w Warszawie wśród robotników.

Tajne nauczanie dzieci zostało nadal przy p. Śniegockiej i żadnej zmianie nie uległo, gdyż było prowadzone bez zarzutu — ale sekcja prowincjonalna ogarniała szybko tereny coraz nowe, przedtem dla nas niedostępne, rozwijały się imponująco. W każdym zakątku kraju mieliśmy teraz swoich ludzi, gorliwych i oddanych, którym było o wiele łatwiej wejść w bezpośredni stosunek zarówno z chłopcem jak ludnością miejską, Biblioteczki szły dziesiątkami, były w nich niecenzuralne książeczki.

Zaczęliśmy też rozpowszechniać wychodzącego w Krakowie „Polaka” pismo przeznaczone dla ludzi. Powodzenie miało duże, w miejscowościach bliżej granicy ludność przemyciała go sama, Rozwinęło się wogóle przemysłnictwo niecenzuralnej bibuły, szły całe transporty książek i broszurek, nie mówiąc o stałej dostawie „Polaka” i „Przeglądu Wszechpolskiego”. Dość poważne ilości przewozili członkowie organizacji, igrając z niebezpieczeństwem zuchwale i często osiadając w

Cytadeli. Trzeba było szukać dróg nowych, gdyż zapotrzebowanie stale rosło. Napływały więc książki i pisma nie tylko przez austriacką granicę, lecz przez Śląsk, Poznań, Prusy. Dłuższy czas przenosił je od strony Poznania właściciel kantoru bon, i dobrze mu się działo, — lecz znęcony zarobkiem dobrał sobie współnika lekkiego, który go zadenuncjował. Posiedział w Cytadeli, spotkał tam znajomych lecz zachował się zupełnie poprawnie, i nikt przez niego nie ucierpiał.

Uświadamianie ludzi spowodowało konieczność zjazdów chłopskich w Warszawie dla bliższego porozumienia. Było to bardzo trudne, gdyż wejście kilku chłopów do prywatnego mieszkania narażałoby niewątpliwie na rewizję. Nawet Ciszkiewiczowa, niesłychanie ofiarna pod względem mieszkania, nie mogła się na to narazić. Wkońcu jednak znalazł się sposób.

Jedna z nauczycielek uzyskała prawo prowadzenia monopolu wódczanego. Więc do sklepu wchodził chłop w obliczu stójkowego, nie budząc najmniejszego podejrzenia. A ze sklepu w stosownej chwili dostawali się do jej mieszkania. Wychodzących nikt nie rachował.

Zjazdy bywały różne: — z jednej okolicy, aby zbliżyć wsie sąsiednie między sobą, a niekiedy z przeciwnych stron kraju. Paru członków organizacji miewało z nimi konferencje, które zwykle kończyły się serdecznym porozumieniem. Te właśnie drobne zjazdy umożliwiły i przygotowały późniejszy, w czasie pierwszej rewolucji, wielki zjazd chłopów w Filharmonji.

Prowadziliśmy także pracę oświatową w fabrykach, wśród robotników. Najintensywniej w Warszawie. Tu chodziło nie o elementarz, ale już czytelnictwo i uświadomienie. Dostarczaliśmy im

także „Polaka“ i książek niecenzuralnych, w niedziele i święta odbywały się konferencje z członkami organizacji.

W tej robocie nieocenioną pomocą, prawie że główną siłą, był prosty robotnik z żelaznej fabryki Rudzkiego, Michał Żochowski, cenny członek organizacji. Froterował u nas podłogi, widywał przytem różne książki i pisma, prosił o pożyczanie — to był początek stosunku. Okazał się inteligentny, a pochodząc ze stron unickich, na tle religijnym głęboko przejęty uczuciami narodowemi. Przyjęto go wkrótce do organizacji i wartość jego pracy była nieoceniona. W sferach robotniczych dostęp miał niezmiernie łatwy, wszędzie był rozumiany, umiał trafić do przekonania. On najczęściej organizował niedzielne konferencje, roznosił „Polaka“ i książki, łączył robotników w grupy, przemycił szczęśliwie transporty lub rozwoził bibułę po kraju. Wrodzona, ni by naiwna przebiegłość zapewniała nam przez czas długi bezpieczeństwo.

Wiezie np. jakąś odezwę czy pisma. Kupił dużą kobiałkę, na dnie leżą papiery, potem siano i kaczką z kaczetami. Nikt tam literatury nie szuka.

Innym razem przenosi na sobie jakiś bardzo poważny transport. Na granicy nieśmiało zbliża się do żandarma, wtyka mu srebrnego rubla i pokazuje w ręku kilka zabronionych medalików krakowskich. Żandarm machnął ręką, wziął rubla i jeszcze się nim opiekował.

Szczytem dowcipu jednak było po aresztowaniu zawiadomie organizacji o tym fakcie.

W ostatnim roku okazało się koniecznym, aby miał mieszkanie własne, ognisko wielu robót i porozumienia. Miał więc porządną izbę gdzieś na wyższym piętrze. Tu w znaczonych godzinach można było dostać bibułę, zasięgnąć informacji, otrzymać polecenia, wiadomości. Od niejakiego czasu zauważył, że za nim chodzi cień. Więc usunął większe zapasy z mieszkania, podnosił czujność.

W nocy ktoś się dobija.

— Kto tam?

— Telegram.

— Ach ty taki siaki złodzieju, myślisz, że ci uwierzę? Telegramów ja nie odbieram.

Jednocześnie pali papiery, jakie miał przy sobie, otwiera lufcik; krzyczy: Ratujcie! Złodzieje! i dzwi barykaduje, czem może.

Wyważyli dzwi, weszli. Ogromne zdumienie.

— To panowie! Czemuż panowie nie powiedzieli odrazu, nie byłbym tyle hałasu narobił.

— Coś tu palił?

— Herbatę sobie gotowałem.

Rewizja najściślejsza, pokrajali sofę, wyrzucili słomę z siennika.

— Zabieraj się.

— Za co?

— Tam się dowiesz.

Jadą dorożką, stają przed bramą Cytadeli. Jeden z żandarmów wysiadł. Michał podnosi się także, nachyla szybko do woźnicy.

— Mój bracie, powiedz stróżowi na Szopena № X, żeby pamiętał o moim kanarku.

— Co tam gadasz?

— Proszę tylko, żeby mi o kanarku pamiętali.

W domu pod podanym adresem mieszkał ktoś z organizacji. Dorożkarz spełnił prośbę, cały dom od rana dowiedział się o wypadku, organizacja była ostrzeżona, nikt do mieszkania Michała nie poszedł.

Siedział rok, modlił się i robił szaliki włóczkowe. Wkońcu go wypuszczono, lecz mimo dozoru uciekł wkrótce zagranicę.

Może najpoważniejszą jednak była praca w seminarjach nauczycielskich.

Nauczyciel ludowy to budowniczy przyszłości, on urabia dusze milionów. Rząd rosyjski wybornie zdawał sobie z tego sprawę i szczególną opieką otoczone były seminarja. Uczniom dawano ulgi, dobrą matematykę, trochę przyrody, sfalszowaną historję Rosji, olśniewano jej literaturą, słabe wzmianki o Polsce pełne były kłamstwa, lekceważenia. Jezyk polski w zupełnym zaniedbanju.

Mieliśmy w królestwie pięć takich internatów, zamkniętych i niedostępnych. T. O. N. tworzy specjalną komisję i powierza jej opanowanie seminarjów. Do komisji należało kilka osób, między nimi paru wybitnych nauczycieli szkół ludowych, wykształconych, inteligentnych, ideowych. Oprócz tego mieliśmy pomoc zewnątrz, dość liczną także wśród młodzieży uniwersyteckiej.

Kwestję wejścia do seminarjów rozwiązaliśmy w ten sposób, że ktoś starannie wybrany pojechał dowiedzieć się o warunki, aby umieścić tam kogoś. Z konieczności czekając na komunikację, pozostawał na miejscu kilka godzin, zbliżał się do wychowawców, rozmawiał z nimi, wypytywał, rzucał słówka, budzące różne myśli, udawało się czasem wyjść razem na spacer, swobodne pogawędki i bliższe poznanie, obietnica ciekawej książki—rzecz prosta—cenzuralnej.

Drugie, a potem trzecie odwiedziny, niekoniecznie tej samej osoby: przyjedzie kuzyn, czy przyjaciel. Kilku chłopców z ostatnich kursów wybrano, zawiązana organizacja wewnętrzna, młodzież się pali do tajnej roboty.

Więc nauka, pisanie ćwiczeń. Gramatyka, z literaturą i historją. Dostarczamy im książek, które umieszczają u znajomych w miasteczku, niekiedy u księdza. Uczą się historii, czytając poetów i wybitnych pisarzy, studjują gramatykę. Do Warszawy przychodzą stosy olbrzymich ćwiczeń, które trzeba poprawić, a błędy objaśnić piśmiennie. Korespondencję słało się przez okazje, praca bardzo gorliwa.

Na Boże Narodzenie zjazd w Warszawie. Każde seminarjum przysyła kilku delegatów. Koszta podróży zwraca się nie jednemu, dać trzeba w Warszawie mieszkania bez meldunku, gromadzić ich bezpiecznie na odczyty i pogadanki, wyjaśniać trudności, którym poddać nie mogą, — trochę poznanie stolicy, teatr, ostatniego wieczoru zebranie towarzyskie z kolacją, przemówieniami, śpiewami, deklamacją etc. Nastrój zwykły podniosły i bardzo serdeczny, urozmaicony zwykłe wesołością; obecni przedstawiciele sfer różnych.

Na wielkanoc znów przyjazd na egzamin. Z początku prosiliśmy na egzaminatorów ludzi wielkich, okazało się jednakże, że chłopcy nie rozumieją ich pytań, a oni nie umieją zniżyć się do ich poziomu. Więc sami zajęliśmy się tą pracą i przeważnie rezultaty były dobre, świadczyły o gorliwości usiłowań i najlepszej woli młodzieży. Należało pamiętać, że nie odrazu Kraków zbudowano, a czas i praca wiele trudności pokona.

Podczas letnich feryj nakoniec urządziliśmy wycieczki po kraju, pod kierunkiem wybranych przewodników. Była to nauka, przyjemność i korzyść, wynikająca z dłuższego obcowania, dającego tak wiele sposobności do poznania i rozmowy o rzeczach pierwszorzędnej wagi.

Jakie rezultaty wydała ta praca, trudno dzisiaj określić ściśle, choć postawa nauczycielstwa ludowego podczas pierwszej rewolucji jest świadectwem, że ziarno uświadomienia plon wydało. Wiemy, że większość wprowadziła do szkoły jezyk polski jako wykładowy, domagała się praw szkoły polskiej. Niestety, najlepsze może siły odpokutowały za tę chwilę uniesienia stratą posady, a czasem i gorzej, — ale to inna sprawa. Inni ludzie kierowali już tym ruchem, może nazbyt gorąco i pospiesznie.

Macierz szkolna zastała także w szkole miejskiej dużo wyrobionego materiału, co pozwoliło jej z taką szybkością rozwinąć swą dobroczynną działalność.

Spotykałam także już po wielkiej wojnie poważnych nauczycieli szkół powszechnych, którzy mi się przypominali, jako dawni wychowawcy seminarjów, ze wzruszeniem mówiąc o naszej wspólnej pracy.

Musimy zresztą wierzyć, że—nic nie ginie marnie, a tembardziej wysiłek ducha, bo inaczej... Praca była

wytrwała i ofiarna, osłaniali ją ludzie własną wolnością, a niekiedy życiem, nie mogła zginąć bez śladu.

O ubocznych, dorywczych przejawach działalności oświatowej nie wspominam, mieliśmy jednak kontakt i z Poznańskiem, posyłałiśmy tam elementarze i podręczniki szkolne, — było porozumienie i z Litwą. Polityczne uświadomienie i budzenie nie ograniczało się do warstw ludowych, lecz to trochę inna dziedzina. Pierwszym jej głośniejszym objawem w Warszawie, był obchód stuletniej rocznicy konstytucji 3-go maja, aresztowania, zsyłka kilkunastu osób, i potem już coroczne w tym dniu manifestacje.

Nie można też pominąć zupełnie milczeniu pracy młodzieży szkół średnich, z taką gorliwością rusyfikowanych. Poza szkołą z zapalem studjowała ona historję i literaturę ojczystą samodzielnie lub z nauczycielem, a wyraz przekonaniom i uczuciom swym dała w pamiętnym strajku podczas pierwszej rewolucji, który stał się początkiem walki o szkołę polską.



MARJA GROSSEK-KORYCKA

Ś W I A T K O B I E C Y

(Felieton)

(Dokończenie)

Gina Lombroso powiada, że umysł logiczny nie podołałby nigdy zadaniom i obowiązkom kobiety. Jakżeby sobie poradził z wychowywaniem niemowląt? niemowlę nic nie powie, co mu dolega, ani czego mu potrzeba. — Musisz je ustawicznie odgadywać.

Inteligencja intuicyjna niezastąpioną jest nie tylko w dziecinnym pokoju! Ona jest niezbędną we wszystkich sferach Życia; Tam gdzie trzeba więcej przynikać, niż badać, bo na badanie niema czasu — więcej odgadywać, niż obserwować — i przepowiadać raczej, niż wnioskować — tam tylko intuicja może zadaniu sprostać.

Życie wszelkie jest dziedziną kobiety.

Dlaczego, ile razy zasiadała na tronie, pod berłem jej naród przeżywał okres złoty? Genjalnemi nie były. Ale kobiece z nawiąską człowieka pozwalało im zawsze doskonale go wybrać — wszystkie urzędy obsadzić najwłaściwiej. — Kobieca przenikliwość nie dawała się tak łatwo wyprowadzić w pole intrydze. Znać się na ludziach, umieć ich tak zażyć, że celom naszym służą ich słabości — manewrować niemi jak marionetkami, które na sznurku ich namiętności prowadzi ukryta ręka. Zainsugestjonować i poddać swej woli. Oto jest pierwszorzędnny talent władców — i kobiet.

Ta, co od początku wieków była gospodynią domu i nauczyła się rządzić tym małym światkiem — kto wie, czy nie byłaby najlepszą gospodynią świata? Kto wie, czy kiedyś, kiedyś, w dalekiej przyszłości, gdy wysoki postęp nauki ciężar naszych obciążeń zredukuje — czy wszelka administracja, wszelki rząd nie przejdzie w nasze ręce? — mężczyzna zaś weźmie całą intelektualistykę, teoretyczną i praktyczną?

Kto wie, czy świat nie odetchnąłby pod panowaniem tej, która się patrzy na niego oczami i sercem matki?...

Świat przewraca się, jak chory na łożu, któremu w każdym położeniu jest źle!... Rządzi nim mężczyzna, który posiada potęgę myśli i wspaniałość charakteru, ale uzdolniony specjalnie do abstrahowania i przywykły do obracania się wśród abstrakcji, umysł jego nie umie obejść się z życiem i jest doktryner i utopista. Jego: wzrok orli może się patrzeć w samo słońce, ale potężny ten promień łamie się na powierzchni źrenic ludzkich i do głębi dusz nie przenika, brak mu roentgenowskiej introspekcji: niczego nie odgadnie, ani się nie domyśli, nic naprzód nie przewidzi. Mężczyzna robi wciąż eksperymenta śmiertelne i bolesne na żywym organizmie społeczeństw, w którym biją miljarde serc, torturowanych jego niemrawym, ślepym, tępym, zaciekłym lancetem. — Demon pychy — demon złota — demon luxurii zwija najczęściej gniazdo w jego piersi. powstaje genialny megaloman, który dla swoich snów o potęgę "zapala pożar na trzech lądach, pięciu oceanach i całej atmosferze ziemi. Wycina w pień miasta, okolice i krainy — Powstaje wielki bankier, potworna ośmiornica, która niewidzialnemi mackami oplątuje i wysysa miasta i narody... Zimny gad, zamknięty w swoim gabinecie, naciska tylko guziki elektryczne ministerjów, pcha państwa do straszliwych światowych wojen. Dwadzieścia narodów w pień się wyrzyna, burzy skarby odwieczne kultury i sztuki, w ruinę i zgłiszcza zamienia Arkadje o to: czyje perkaliki panować mają na wszechświatowych rynkach oceanicznych. Dla panowania jednych kapitałów nad drugimi podpisuje się jednym szasnięciem pióra wyrok śmierci na miliony... a drugi wyrok na drugie ty-

Kierowników tych wszystkich działów tajnej pracy nie wymieniam, oprócz p. Śnięgockiej, która ją prowadziła samodzielnie. Inne komisje i sekcje miały po kilku, kilkunastu członków, rozproszonych dzisiaj po kraju. Nazwiska należałoby dać wszystkie, a nie wiem, czy mi wolno bez upoważnienia. Niech więc to pozostanie w moich notatkach.

Na tem kończę ten promyk wspomnień. Być może, iż pominęłam w nim niejedno. polegając przeważnie na pamięci, — zdaje mi się jednakże, iż rzuca on trochę światła na epokę, której życie musiało kryć się w cieniu, okazując czujnym strażnikom narodowego bytu jedynie — wegetację.

(Koniec).

C. Niewiadomska.

le skazanych na śmierć z łez, z rozpacz i nędzy... Ręka podpisująca nie zdrzy... Miljony głów strатовanych końskimi kopytami, miljony serc, wywalonych z piersi granatem... cóż ich to może obchodzić?!... Oni nie wiedzą, jak kosztowną jest głowa ludzka!... Oni nie wynosili jej pod sercem, jak kobieta — nie wykołysali na pierśiach w noc bezsenne — nie ukąpali we łzach — nie policzyli ustami ile jest włosków w tych bujnych kędziorach, które śmierć sponiewierała w kurzawie i błocie... To są najstraszliwszego gatunku zimni szaleńcy, opanowani przez najniebezpieczniejsze nieuleczalne namiętności rozumowe. Utopista i doktryner przywykły budować rusztowania z mydlanych baniek abstrakcyj, latające w powietrzu, oderwane od ziemi, nie mające żadnego z nią kontaktu, mężczyzna metodę tę przenosi w sferę życia i sprowadza na świat kataklizmy kosmiczne, topi go w krwawych potopach. Zburzy wszystko, a potem stoi bezradny na ruinach, nie potrafiąc ani coś nowego zbudować, ani odbudować tego, co zniszczył!...

Gdy mu jakaś szalona teoria dyktuje, że trzeba przekrytykować i zniszczyć wszystkie ostoje życia moralnego, chociaż nie ma w zanadru nic do postawienia na ich miejsce — gdy mu druga jakaś szalona utopia wyłomaczy, że dla uszczęśliwienia tych, co się jeszcze nie urodzili, trzeba wyciąć w pień tych, którzy żyją... to już on to wykona skrupulatnie, metodycznie, naukowo! A jakże! będzie wecował nóż na osetce i jechał po gardłach, aż do ostatniego tchu, z błogim uśmiechem pracowników w Winnicy Pańskiej... Takim był Danton czy Robespierre — takim był może Lenin? A wojny religijne — a inkwizycja święta?

To przecież byli ludzie "dobrej woli, którzy dbali o szczęście bliźnie-

go największe, o jego wieczność. Oni przecież niezłomnie i szczerze wierzyli, że wybawiają od ognia wiecznego duszę, spalając ciało w ogniu ziemskim.

Kroniki przekazały nam sceny rozdierające: jak z boleścią brali w ramiona, jak płacząc i całując, zegnali wstępującego na stos delikwenta! Jakże tragicznym jest ten inkwizytor Le comte de l'Isle'a, który wyciąga do Chrystusa uznożone ratowaniem dusz ręce — a Chrystus od niego się odwraca. Nie masz okropniejszych błędów, jak błędy nieopozłakowanej logiki, której nie oświetliło uczucie i nie rozszerzyła wyobraźnia. Nikt nie potrafi takich klęsk sprowadzić na drugich i na siebie, jak ona.

Umysł kobiety trzymający się zawsze konkretnego, nie oddzielający nigdy myśli od uczucia i wyobraźni, takich omyłek nie popełni Kobieta, spaliłaby swoją rywalkę, niewiernego kochanka, wroga swoich dzieci, ale do takich orgij krwawych, do których prowadzi aberracja doktrynerska kobieta nie jest zdolna. — Mógłby jej Torquemada tłumaczyć, ileby chciał, że auto-da-fé jest racjonalnym. Onaby mu odpowiadała z kobiecym uporem, zawsze to samo „ja wiem, że trzeba spalić żywcem heretyka, aby zbawić jego duszę — ale ja wiem, że palić żywcem człowieka nie można” — Serce jest daleko częściej w prawdzie, niż rozum. Święty Augustyn powiada „dajcie mi tylko człowieka który kocha, a ten wszystko zrozumie”.

Kobieta, w której serce jest główną funkcją, rządziłaby światem lepiej...

Ale kobieta nie ma na to czasu!

Niech rządzi On!

Nie tak wszakże, aby nie była uwzględnioną nasza wola — aby nie był wysłuchanym nasz sąd!

Mężczyzna rozumowaniem sprowadził już tyle na świat kataklizmów, że jego jednostronny absolutyzm skończyć się musi. Musimy być dopuszczone do kontroli i veto.

Kobiety polskie mają do tego osobliwsze prawo. Co najmniej dwadzieścia narodów brało udział w światowej wojnie — ale tylko w Polsce widziano pułki kobiece, walczące na froncie ramię w ramię z mężczyzną. Prości żołnierze dają im świadectwo zdumiewające: „nikt nie bije się tak zażarcie jak kobieta” — „nikt nie walczy z takim zupełnym zapomnieniem o sobie” — „nikt nie jest takim rygorystą w służbie”. Lwów powinien być nazwany miastem „Lwiąt i Lwic” — Lwice, chwyciwszy za broń, używały swoich pięciolatków do roznoszenia żołnierzom chleba i amunicji, bo te maleństwa, przyuczone w pół łsie zginać, niosły główkę poniżej lotu kuli. Nasze sanitariuszki bywały na pal wbijane.

Na marmurowej tablicy w Uniwersytecie Warszawskim imiona kobiece, które wplatają krwawe swoje róże w laur męski, to są wyrzyte sło-

wami faktów bohaterskich nasze prawa do kierowania ojczyzną.

Na jakież więc drodze mamy ten rząd sprawować? — my, które nie mamy na to czasu?...

Gina Lombroso wskazuje nam salony... oto są — powiada — nasze parlamenty i akademje. Z nich rozchodził się w wieku XVIII szeroko po świecie wpływ mądrych i pięknych kobiet — przez genialnych mężczyzn, których one były inspiratorkami. Przemiął czas salonów! W tych, które dziś otwierają złoczone swoje wnętrza, nie królują mądre kobiety wśród genialnych gości.

Dzisiejszy mężczyzna po inspiracji udaje się do cafe chantaut, do wesołych kobiet z półświatka.

Głosując każda z osobna, zostajemy wciągnięte przez mocniejsze zorganizowane środowiska męskie. Każda do urny wrzuca numer, podsunęty jej przez narzeczonego, męża lub syna. Każda automatycznie wchodzi w służbę do jego partji.

Niech uświadomi sobie swoją misję i swoją potęgę zbiorową kobiecość. Uświadommy to sobie, że w czasach parlamentaryzmu my, które prawie wszędzie jesteśmy w większości, stanowimy potęgę. — Zbiorowa, zsolidaryzowana uświadomiona kobiecość jestto gigant, który położy rękę olbrzyma na losach świata i będzie „tak” gdy on je powie — a będzie „nie” gdy on tego zechce.

Zbiorowa kobiecość musi przeciwstawić swoją intuicyjność i uduchowanie racjonalizmowi i zmysłowości zbiorowej mężczyzn — aby im dać przeciwwagę i kompensatę w ekonomicznej sile moralnych świata.

Liga wszechświatowa kobiet jest to słowo, które już stało się ciałem — ale ciało to nie ma jeszcze ducha 1) Nie dopuszczać do wojny 2) Bronić mniejszości narodowych są to hasła, wystarczające dla jakiejś partji — ale nieodpowiednie dla chorągwi, którą niesie połowa ludzkości!

Co mówiliśmy my polacy przed wojną europejską o pacyfikacji świata, która miała być zamowaniem naszego grobu, położeniem na niego pieczęci?! Są jeszcze narody, dla których pacyfikacja dzisiaj byłaby ulegalizowaniem sankcjonowaniem czynionej im krzywdy.

Będziemy przeciwko wojnie zaborczej, wojnie niesprawiedliwej — będziemy za wojną obronną, za wojną sprawiedliwą.

Liga wszechświatowa kobiet będzie pierwszym trybunałem międzynarodowym, ferującym wyroki na zasadzie praw moralnych, — a wyrok ten każda grupa narodowa będzie starała się przeprowadzić u siebie. Wnosząc etykę w stosunki międzynarodowe, zrobimy więcej, niż opierając się wojnie: Zniszczymy przyczynę wojen: — wyrwiemy jej korzenie,

Inicjatywa tego wielkiego dzieła należy się kobietom — kobietom polskim osobliwie. Idea ta jest historyczną spuścizną po naszych przodkach — po naszej rycerskiej, chrześcijańskiej, królewskiej Polsce przeszłości — przestrzeganie jednakowych praw moralnych, we wszystkich stosunkach ludzkich uczyniwszy swoim hasłem, będziemy ipso facto bronić wszelkiej słabszości od przemocy — będziemy przeciwstawiać się wszelkim uciskom, a więc w ich liczbie i ciemieniu mniejszości narodowych, tam gdzie to ciemienie jest.

Ale są kraje, w których mniejszości narodowe, silniejsze od większości, dającej im u siebie gościnę — toczą z nią walkę — tak, że ona musi się od nich bronić.

Takie hasła o zabarwieniu partyjnym, Ligę Kobiet rozłożą prędko na lewicę i prawicę i uczynią ją terenem najpospolitszych walk partyjnych, zamiast tworzyć w świecie coś nowego, co siłę swą doda do istniejącego zespołu sił. Rozpartjowana Liga Kobiet dostanie się w orbitę pana ministra spraw zewnętrznych, który ją będzie używać do „drobnej roboty”.

Zorganizowana połowa ludzkości ma do spełnienia zadanie donioślejsze, misję swoją własną. Dość mamy partyj i skandalicznej ich walki.

Organizacja kobiet zajmie miejsce, w równej odległości od wszystkich partyj, a z punktem widzenia ponad nimi. Program nasz będzie tak ruchomy, jak ruchomym jest samo życie. My będziemy partją zdrowego rozsądku i prostej słuszności.

Jednostronny wpływ mężczyzny, popychając świat w jednym jakimś zawsze kierunku, doprowadza go zawsze do krańcowości, które kończą się powszechną paradoksalnością. Wpływ kobiety będzie kontrparą, będzie przeciwwagą.

Ile razy mężczyznę ponosić zechce jego zimna pasja utopisty — kobieta założy veto.

Nasz konkretyzm, nasze bezpośrednio ujęcie rzeczywistości — i to cudne Żeromskiego „czujące widzenie” będą mitygować oschłość abstrakcji, zimny bezwzględ i krańcowość doktrynerską mężczyzny.

Liga wszechświatowa kobiet powinna być wyrazem ducha kobiecego, który rysy swoje przekaże obok męskich duchowi przyszłości — tak jak matka przekazuje dziecku rysy swoje obok rysów ojca.

Kobieta par excellence, istota moralna, przodująca w uduchowaniu, ma obowiązek dzisiaj przeciwstawić się amoralizmowi i zmaterializowaniu, które wtrąciły Europę w śmiertelną chorobę dekadencji.

Śmierć już nam wróży Ameryka!
Toczymy się szybko po drodze
ewolucji wstecznej ku człowiekowi
jaskiniowemu.

Nie ukołysujmy się złudzeniem,
że są to skutki wojny i jej pozostałości,
Sygnalizowałam wszystkie te groźne
objawy w Medytacjach, pi-
sanych na długo przed wojną!

Tej zabójczej dekadencji wydajmy
nieubłaganą wojnę — rugujemy ją
z literatury, sztuki, wychowania, oby-
czajów i życia.

Bądźmy wyrozumiali dla błędów:
błąd jest rzeczą ludzką... Bądźmy
pobłażliwi dla grzechu: grzech
jest musem życia... Ale amoralizm,
jako zasada?!!! — ten musi być
wypalany ogniem i wycinany żelazem,
jak gangrena.

Tępmy dekadencję we wszystkich
jej objawach: sofistycie myślowej —
perwersji uczuciowej — megalomanji
i erotomanji — i tem powszechnym
schamieniu!

Jesteśmy potęgą! — uświadommy
to sobie dobrze...

My, na miękkim sercu dziecka
kładziemy rękę matki, która je od-
ciskiem swoim piętnuje, na całe życie...

My w epoce młodości i wdzię-
ków na wstążeczce naszego warkocza
zaprowadzimy, gdzie zechcemy, najpo-
tężniejszego lwa z pośród mężczyzn...

My urabiamy opinię — my two-
rzymy obyczaje. Nie pozwalajmy na
to, co jest!

Odpielegnijmy, oddechujmy za-
tracone w duszy ludzkiej święte
przecucia — rozpalmy nad tym
zimnym, zdziczałym światem serca
gorejące — przywróćmy stosunkom
ludzkim staroświecką dobroć — na-
dajmy miękkość dłoniom ustom
słodycz...

Kwestja inteligencji kobiecej jest
załatwioną — starczy nam jej do wy-
pełnienia najwyższej roli na świecie.

Braki nasze tkwią w charak-
terze.

Jesteśmy cudowne, anielskie,
niedościgłe, gdy życie nas zamknie
w kole istot ukochanych — wyprowa-
dzone na szeroki świat, zimny i obcy,
wykazujemy liczne niedostatki cha-
rakteru.

Niniejszem kończę Część I-szą
Świata Kobiecego, w której
obiegłam dookoła cykl kwestyj prak-
tycznych.

W II-iej Części, którą niebawem
drukować rozpocznę, zajmuję się psy-
chologią kobiety — abyśmy uświado-
miły sobie, jak mamy się prze-
wychować.

Z HORACEGO

(Carm. III, 26).

*Żyłem ja niegdyś dziewczętkom usługny
I wojowałem nie bez chwały o nie.
Zniszczon dziś oręż mój, trud rzucam próżny,
Broń mą i lutnię przyjmie to ustronie.*

*Na mur, co biodro morskiej Venus wspiera,
Zawieście żywo świetliste pochodnie;
Groźące bramie, jeśli się opiera,
Sztaby tu złóćcie i topory zgodnie.*

*A Ty, co dzierzysz Cypr okryty chwałą,
Królujesz w Memfis nieznanym śniegu,
Wznies bicz i uderz nim Chłogę zuchwałą:
Niech choć raz dotknie ją w powietrznym biegu.*

(Carm. IV, 7).

*Rozpłynęły się śniegi; łąkom powraca już trawa,
drzewom powraca już liść.
Świat odmienia koleje; nie omywają wybrzeży
wody w korytach swych rzek.
Gracja znów się odważa, naga wśród nimfi i sióstr bliźnich
zwykły tanecznic wieść krąg.
Byś nie myślał o wiecznym, rok przestrzega i chwila,
kradnąc krzepiący cię dzień.
Mróz łagodzą Zefiry, lub podległe zatracie,
wiosnę usuwa z swych dróg.
Ledwie jesień rodzajna hojne rozsypie owoce,
gnuśniej rzeknie zimy znów bieg.
Czyżże miesiące splacą straty w rachunkach niebieskich,
my zaś zstępując tam,
gdzie pobożny Eneasz, gdzie Tullus boski i Ancus,
w proch się obrócim i cień.
Czy dorzucą — któż zgadnie — dobie schodzącej bogowie
jeszcze z jutrzejszych coś chwil.
Wszystko ujdzie szczęśliwie rąk chciwych tego dziedzica,
czego użyjesz ty sam.
Raz gdy odejdiesz na wieki i skoro świetny nad tobą
Minos odprawi już sąd,
życia nie wróci, Torkwacie, ni świetny ród ni wymowa
cnota nie wróci go twa.
Wszak nie uwalnia Diana skromnego Hypolita
z mroku podziemnych gdzieś sfer,
ni mocen z Peritousa zerwać letejskie okowy
Tezeus, serdeczny drub.*

Tłumaczyła ZOFJA SZMYDTOWA.



2)

STANISŁAW CZOSNOWSKI

P R A W D A

(D o k o ũ c z e n i e)

I w nim coś umarło. W tej chwili życie jest zupełnie inne, niż przed godziną. I ten las, i Roman, i on, Juliusz i wogóle wszystko stało się zupełnie inne.

Jakie to dziwne.

I tak będzie już zawsze. Jutro i za rok.

To straszne opanowało go, weszło w niego, zamieszkało w nim i nie opuści go już.

A wszystko — trwało mgnienie. I mogło się było nie stać, gdyby...

Myśl okrężną drogą wracała znowu do pierwotnego założenia. Nie mógł pojąć, że w tak krótkim czasie mogło się dokonać coś równie niespodziewanego, strasznego, co życie łamie, jak kij na kolanie i duszę rozdziera, jak szmatę.

Przeżył się w nim głuchy żal do siebie i Boga, że stało się coś, co nie powinno się było stać i tak łatwo mogło się nie stać.

— Dlaczego się to stało? Kto tego chciał?

W paroksyźmie niewysłowionego cierpienia skręcił się cały, zgął, skurczył i jęczał:

— Boże! Boże! Boże!

Drapieżne pazury męki darły mu serce na włókna. Ogrom niedoli i bólu przytłoczył go, jakgdyby niebo stało się ołowianem sklepieniem i usiadło mu na barkach, a cały las walił się na nieszczęsną jego głowę.

Bał się tak okropnie, jak nigdy w życiu. Tego, co się już stało i tego, co idzie. Z przerażenia szczerkał zębami, obłany potem śmiertelnym.

Suchemi oczami wodził po lesie, w obawie, że oto natychmiast ucieleśni się nieodwołalna sprawiedliwość, kara, czy zemsta i pod amfiladą starych drzew iść ku niemu będzie groźna i nieubłagana.

Ale po lesie przechadzała się tylko tajemnica i patrzyła weń współczującymi oczyma.

Pochyłe słońce barwiło czerwonią pnie drzew, las grał kolorami jesiennego wieczoru, przyziemnie snuło się babie lato i drozdy gwizdały przed snem.

Od bieli brzozy kory rdzawo odcięto się futerko wiewiórki. Śmiesznie przekrzywiła łepkę, wyginając puszysty ogon w kształt ramienia liry.

Sójka z łopotem siadła na sośnie i spłoszona widokiem ludzi odleciała skrzecząc przeraźliwie.

Mignęła w słońcu złotym odbłaskiem na piórach. Juliusz wzdrygnął się całym ciałem i powstał.

Zwłoki Romana już ostygły.

Na szyi jego chustka cała już nasiąkła krwią, ku której zlatywały się roje zielonawo połyskliwych much. Spojrzał na trupa.

Trzeba odejść.

Nie będzie wiecznie stróżować u tych zwłok i patrzeć bez ustanku w tę niedomkniętą żrenicę, skąd broczy pośmiertna łza. Nie zostanie wszak nazawsze w tym przeklętym lesie. Trzeba wstać i odejść. Trzeba długo iść lasem, polami, drogą aż do wsi.

I wyznać.

Stanąć przed ludźmi i powiedzieć:

— Zabiłem Romana. Leży w lesie tam, a tam.

A później niech się dzieje, co chce. Niech go uwiężą, karzą czy uwolnią — wszystko jedno. Bo wszak już się skończyło. Umarł nie tylko Roman, ale i w nim coś umarło. Życie się stłukło, jak szklany dzban. Zbiegną się ludzie, zabiorą zwłoki. Targać się będzie krzyk i skomleć czyjeś ciche łkanie. Będzie pogrzeb. Wszystko to już jest obojętne. Życie stłukło się, jak szklany dzban.

Byle już wyznać.

— Komu? podszeptęło się straszne pytanie.

Oh, męko, męko, męko!

...Siwe wysmuki włosów z pod czarnej koronki.

... Siwe, dobre, wyplakane oczy.

... Łagodność cichego uśmiechu.

...Pieszczotliwe ujęcie synowskiej głowy kochającymi matczynymi dłońmi.

Któż był światłem starości tej kobiety.

Roman.

Kto był jej opieką, ostoją, nadzieją i ukochaniem, szczęściem i pogodą, światłem całym, wszystkim?

Roman, Roman!

Gdzie jest Roman.

Zabity.

Kto go zabił?

On.

A teraz musi pójść i wyznać to. Powiedzieć to tej kobiecie, która była matką Romana. Musi być świadkiem jej rozpacz i bólu. Patrzeć, jak siwą głową tłuc będzie o kant łózka, wyc i przeklinać.

Musi wyznać.

Za nic! Wszystko — byle nie to. Ponad siły.

Walczył ze sobą, wijąc się w katuszach.

Modlił się bezsłownie żarem tortury. Czuł, że nie zdoła. Żęby zewrą się skurczem, słowo nie przecisnie się przez gardziel, zmysły się pomieszają.

Srożyła się wyrafinowana męka.

Oh, wyzwolić się od niej, uciec na kraj świata, a choćby i ze świata.

W porywie rozpacz chwycił broń i skierował ku sobie.

Wyzwolenie, niech będzie, co chce — piekło, potępienie wieczne — byle nie to, co jest!

Już, już był gotów.

W ostatnim momencie, gdy kładł już palec na cyngiel, przyszła zbawcza refleksja.

Natchnienie — jest wyjście!

Olśniła go nagle mądrość pomysłu. Chytry uśmieszek okolił mu usta.

Opuścił broń, wyjął z lufy łuskę wystrzelonego naboju, tego naboju, który był sprawcą nieszczęścia, i wsunął ją do strzelby Romana...

Było tak: zmęczeni polowaniem usiedli w cieniu, aby odpocząć. Roman nieostrożnie oparł broń o drzewo. Osunęła się i strzał ugodził go w szyję.

Roman zabił się sam.

Kto zaprzeczy? Kto widział, że było inaczej, kto rzuci mu w twarz:

— Nieprawda! Tyś go zabił!

Nikt nie widział, nikt nie zaprzeczy.

Błogosławiona ulga rozlała się w piersi. Znalazło się wreszcie dobre kłamstwo, o pozorach prawdy.

Nieśmiało poruszył się w nim sprzeciw wewnętrzny.

Zdławił go.

Romanowi wszystko jedno — nie wskrzesi go jego wyznanie.

Wstał.

Ułożył zwłoki, ręce zaplótł, przytknął oczy, podwiązał brodę. Narwał strzępiastych liści paproci, naciął gałązek i przykrył nimi trupa.

Nacisnął kapelusz, broń przerzucił przez ramię i ruszył. Nikt nigdy się nie dowie.

Roman sam się zabił.

Tak powie.

Gdy stanął na brzegu lasu, za polami zamajaczyła wieś.

Puścił się ku niej pędem, na przełaj.

Biegł.

Byle prędzej! Byle prędzej!

Wyrzucić już z siebie, wypluć to zbawcze kłamstwo. Niech się już stanie, niech już będzie potem.

Śpieszył się, jakby się bał, że nie doniesie tej straszliwej wieści, że ją uroni, że zgubi na szarej ścierni.

Ręką trzymał się za serce i biegł. Minął łąkę, wpadł na kartoflisko. Przeskakiwał z redliny na redlinę, spłoszył zajacę, potknął się silnie i biegł dalej.

Wieś coraz bliżej.

Skończyły się pola. Wpadł na drogę i pędził przyrowiskiem. Pierwsze chaty szybko uciekły wstecz. Paru ludzi obejrzało się za nim. Psiak wyskoczył przed wrota i piskliwie zaszczekał.

Już widać.

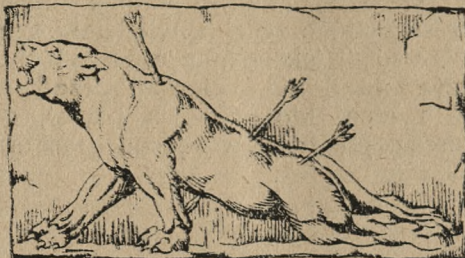
Na końcu topolowej alei mały wiejski dworek.

Prędzaj, prędzaj!

Już.

Już stoi przed drzwiami.
Pulsy walą.
Czerwone chusty na oczach.
Pot splywa kroplami, włosy w
nieładzie, na rękach niezmyta krew.
Drzwi.
Położył rękę na klamce.
Kolana się uginają. Tak strasznie
słabo. Czarno w oczach.
Więc to już, zaraz, za chwilę!
Nie mogę.
Boże. Lęk.
Oh, żeby móc umrzeć w tej
chwili! Cóż za łaska! Stokroć trud-
niej nacisnąć tę klamkę, niż cyngiel
rewolweru zwróconego ku sobie.
On ich nigdy nie otworzy.
Otworzyły się same.
Nic nie widzi.
Milczy.
Nie widzi, ale wie.
...Siwe wysmyki włosów z pod
czarnej koronki.

...Siwe, dobre, wyplakane oczy,
Nie widzi, ale wie, że są.
Milczy.
Mija sto, tysiąc, sto tysięcy lat.
Słyszy zdziwiony, niespokojny głos.
— Julek! Jak ty wyglądasz?
Milczy.
Wszystko uciekło.
Ciemno.
Gdzie on jest?
Ktoś bierze go za rękę.



— Na Boga, co się stało?
Milczy.
Czy to się nigdy nie skończy?
Czy to jest wieczność?
Przerażony, cichy szept:
...krew...
I nagle krzyk:
— Mów! Gdzie Roman?
Sto słońc w oczach. Dzwony,
dzwony, dzwony! Boże! Wszystko
zapomniał. Co mówić? Gdzie moje
kłamstwo, mój ratunek?... Aha, jest!
Przecież nikt nie wie... Jest, jest!...
Z serca do gardła, z gardła na
usta, już jest tu, tu na ustach, błogo-
sławione, zbawcze... potworne, naj-
ohydniejsze kłamstwo!
...i między wargami zmienia się
w najczystrze złoto bohaterskiej pra-
wdy.
Podniósł oczy.
Spokojnie, dobitnie i twardo wy-
znał.
— Zabiłem.

7)

D R O G A M I D U S Z Y

HELENA CEVSINGERÓWNA

(p o w i e ś ć)

Tak prawi stara... powieść cią-
gnie się wciąż ta sama, długa, nie-
skończona... a dziecko słucha z jed-
naką zawsze ciekawością o tem gnieź-
dzie swoim dziedzicznym, nieznanem...
I o innych mówią rzeczach... Stara
pokaże Wandzi niezadługo mogiłę po-
wstańczą pod lasem i pierwsza upoi
jej wyobraźnię czarem idei, która w
jej ustach, chłopskim gadana języ-
kiem, dziwnego nabierze zabarwienia,
jakichś blasków, nigdy niezgaszal-
nych, a potem przyjdzie dzień... taki
ranek dziwny, w którym w duszy sie-
dmioletniego dziecka skryształą się
nagle wszystkie żywioły zbieranych
dotąd wrażeń i przed myślą jego po
raz pierwszy trysną gwiazdą ideału.

Chwile takie bywają dla przy-
szłych losów człowieka bezwzględnie
wyroczne.

...Jest ranek letni późnego już
lata, mglisty, ale ciepły... w kopule ze
mgły dźwięki wszystkie rozbrzmiewają
z dziwną wyrazistością: rozlegają się,
jak w dzwonie i głosy ptaków i dziew-
cząt śpiewy; z dalekości płyną na-
woływania jakieś smętne. Wandzia
wraz z innymi dziećmi jest w sadzie
owocowym. Dzieci i służące zbierają
po trawnikach jabłka czerwone—pełno
śmiechu i krzyków, radości pełno.
Ona jedna, zazuleńka mała nie śmieje
się, nie igra... Stała pod drzewem
zadumana głęboko. Z tej mgły, poza
którą czuć słońce gorące, dziwne na
nią idą światła... dziecko myśli raz
pierwszy o życiu... jak żyć trzeba...
jak najpiękniej jest żyć... właściwie
pół-myśli... pół-odczuwa...

Pod szczególnym jakimś kątem
załamały się promienie jej duszy
i wytworzyły nastrój... oświetlenie,
w którym każde widmo myśli nabiera

rysów dziwnie wyraźnych, mocnych.
Dziecko nie wie, co dzieje się dokoła,
zajęte całe wewnętrznym życiem swo-
jem. Myśli o ojcu, o powstańcach,
co w mogile pod lasem cicho śpią
i w umyśle jej wyrazistymi linjami ry-
suje się typ żywota bohaterskiego
i czystego: ona widzi jego piękność
chmurną i złotą, jak złotą jest błys-
kawica na czarnym obłoku: olśniewa
ją ideał walki niezłomnej... Naraz tę-
tent jakiś uderza jej słuch... to sta-
dnina z pastwisk powraca... ale dla
niej w tej chwili... to odział konnicy
powstańczej, pędzącej w bój! Serce
bije jej w takt tego pędu... I ona żyć
będzie tak! jak ojciec jej—w burzy...!
w walce... inaczej nie chce już!...

Chwila olśnienia!... olśnienia
pięknością ideału, który po raz pierw-
szy tak wyraźnie do świadomości jej
przeniknął.

Dziecko czuje szczęście niewy-
mowne, jak ktoś, co z trudnością dą-
żył ku wyżynie i szczytu już do-
sięgnął, a teraz spogląda w świat nie-
znany, świat za górami... błyszczący
nowością, świat błękitnych mórz bez
końca... i wysp wiosennych.

...Polska!... wyraz ten, jak błys-
kawica wpadł w jej marzenia... ojciec
jej walczył dla Polski... i ona walczyć
za nią będzie.

W tej chwili, przyrodzonym oby-
czajem, dusza jej zaczyna przyglądać
się samej sobie... Zdumiewa ją kolo-
salność własnych marzeń i przejmują
obawą... bo... przecież... inni dzieci
o takich rzeczach nie myślą...

Więc ona od nich odmienna?...
dlaczego?... więc może do rzeczy
wielkich przeznaczona?... wybrana?...!

O chwilo! Chwilo - tajemnico.
Chwilo-kusicielko!

Kto cię przeżył raz taką, kto się
z tobą ślubem powiązał, temu weź-
miesz siły młodości i radość życia
i ciszę...

Chwilo przekłeta!...

Będiesz ty jemu drogowskazem,
od którego pójdzie drożyna żywota
jego bólem krwawa, gościniec cier-
niowy u którego końca — samotność
pustyni i zgon w głuszy... Chwilo
wielka i święta!

Od poranku tego idał ojczyzny,
bohaterstwa, wielkości i czystości du-
szy zapanował nad marzeniem i myślą
dziewczynki. Ona rosła i on rósł z nią,
coraz wyraźniejszych nabierając kształ-
tów, coraz bardziej ukochany.

Olbrzymia wyobraźnia dziecka
nasuwała mu czyny bohaterskie, obrazy
bitew, walk i tego pędu wśród gradu
kul, którego wspomnienie tkwiło dzie-
dzicznie w nerwach dziewczęcia. Bitwał
bitwa ciągnęła ku sobie dziecko żoł-
nierza przecuciem bohaterskich
upojeń...

A tymczasem stała się dusza jej
własna polem walk przeróżnych, żalów,
zwątpień, bo obok wyobraźni wiecznie
twórczej rozwijał się w niej silny a nie-
ustępliwy krytycyzm, który zwalczał po-
rywy, ochładzał marzenia i każdą
świętyńkę ideału, świeżo zbudowaną,
wywracał. Ale uczuciowość i wyobraź-
nia niemordowana pracowały znów
dalej, by surowego sędzię zaspoko-
ić.

Ostrzeżeniom instynktu posłuszna
kryła dziewczynka całe to życie duszy
przed otoczeniem swoim—przez nie-
śmiałość, przez dumę, przez obawę,
że wysmieją to, co dla niej najwa-

źniejszym i najpoważniejszym było. Więc wydawała się na pozór takim samym dzieckiem, jak inne dzieci, tylko wyróżniały ją częste zadumy, zamilowanie samotności i od czasu do czasu z ust jej padające jakieś słowo, które świadczyło o pracy myśli nad wiek i prawie nad siły dziecięcego organizmu. Każdy błysk taki pogłębiał przepaść między nią a ludźmi, którzy dali jej opiekę. Pani Sokołowska mawiała wtedy z niechęcią: „ta dziewczyna, jak stary człowiek, wszystko krytykuje!” Frazes ten nie tłumaczył dokładnie tego, co czuła, ale nie mogła zdobyć się na właściwe wypowiedzenie zdumienia i odrazy, jaką przejmowało ją obce dziecko.

Najżyźliwszym dla Wandzi był Sokołowski. Zmęczone, wiecznie niewyspane oczy biednego pracownika, który w domu własnym zaczynał być także obcym dla wszystkich, — obwiniany wciąż o niezaradność i głupotę, z powodu każdego niepowodzenia, czy klęski gospodarczej obsypywany gradem zarzutów, — zwracały się ze szczególną sympatją, ku dziecku człowieka, który z całkiem innej ulepiony gliny, niż on, przejmował go był niegdys

i wbrew woli nawet, takim respektom, że Sokołowski rozkazu jego musiał zawsze posłuchać na ślepo.

Wandzia mu sympatję tę odplacała szczerem współczuciem dla jego dołi, której ciernie, wrodzoną intuicją serca, odgadywała. Chętniej też, niż jego własne dzieci, niosła znużonemu drobne usługi i gawędziła z nim o gospodarskich sprawach. Jak każde dziecko wsi zapoznała się rychło z tym całym warsztatem gospodarskim, rolniczym, który tak wypełnia myśli i rozmowy oddanych mu ludzi. Znała wszystkie zwierzęta domowe, biegła po wszystkich polach, wiedziała, gdzie co rośnie i jak rośnie, więc szlachcic przyzwyczaił się zwierzać przed nią ze swoich kłopotów, a nawet, gdy starszą już była, wyřęczać czasem w

niesieniu poleceń i załatwianiu różnych czynnościach gospodarskich.

Dziewczynka spełniała wszystko chętnie. Z wiekiem coraz wyraźniej objawiały się w niej niby dwie dusze: jedna kontemplacyjna, marzycielska, druga — łaknąca czynu i dla marzeń swoich kształtu, wcielenia.

Dzieci — mieli ich Sokołowscy pięcioro: dwóch chłopców i dwie starsze dziewczynki, oraz najmłodszą, już po powstaniu urodzoną Ninke, — zarówno typem fizycznym, jak usposobieniem od rodzeństwa wielce odmienną — dzieci te z początku nie lubiły Wandzi, choć często ulegały jej wpływowi, porwane werwą i twórczością towarzyski: ona opowiadała im bajki, układała dramaty, rozdawała im w nich role, a gdy dla tamtych była to tylko dziecięca jakaś historia, dla niej miała znaczenie podwójne; tem ukrytem bawiła się tylko ona.

I wśród zabawy jednak stawała nieraz zamysłona, smętna, daleka... Wtedy dzieci rozniewane zrywały zawarte z nią chwilowo przymierze, porzostawiając marzycielkę na pastwę jejdum i widziadeł.

(c. d. n.)



10)

Z CYKLU: „PROFILE ROMANTYCZNE“

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

U Wołkońskich „panowała niemal elegancja”. Drewniane przepierzenie obito starą, ciemnoniebieską portjerą, w kącie stała kanapa, obok szafka z książkami, na ścianach portrety i minjatury, a wreszcie — klawikord Zenejdy. Sergjusz Wołkoński, wracając z roboty w chałacie katorżniczym, zastawał w swojej izbie ciepło domowego ogniska. Pomyśleć sobie, czem byłyby te ciemnice bez przybycia żon. Do gromadki już zadomowionej przybyła jeszcze śliczna, jak jakiś egzotyczny ptak, młoda dziewczyna, znowu Francuska: Kamilla Le Dentu, narzeczona Iwaszewa, córka nauczycielki w jego domu. Odbył się ślub w mniej ponurych warunkach, jak ślub Annenkowa i państwo młodzi sprowadzili się od razu „do siebie”. Ale delikatne stworzenie niedługo miało pożyć w zbyt ostrym klimacie. Zaczął się długi szereg lat, znośniejszych jak pierwszy, okropny czas „próby”, ale ciężkich coraz większą beznadziejnością.

„Na początku naszego wygnania sądziłam, że za pięć lat pewnie się skończy; potem mówiłam sobie, że skończy się za lat dziesięć, a potem przestałam się całkiem „spodziewać”.

Po roku zamieszkiwania w ciemnicach, gdy sobie wszyscy wzrok popsuili czytaniem przy lichych lampkach, nadeszło pozwolenie na wybić okien, ale stary generał „usposo-

biony jeszcze trwożliwiej, jak zwykle wpadł na myśl zrobienia ich wysoko, pod samym sufitem, tak, że mieszkańcy ich musieli sobie sporządzić schodki, po których mogli dostawać się do okna i czytać.

Tymczasem Aleksandra Murawiewowa, „bogaczka”, kazała sobie postawić dom poza ostrogiem, a Wołkońska kupiła chatę, gdzie osadziła swoją wierną Maszę i gdzie wymykała się czasem, aby się wykapać i spędzić parę godzin nie pod kluczem. „Straszna to rzecz, ten zgrzyt zamków!” wyznawała potem. Wreszcie nadszedł czas, przewidziany regulaminem katorgi, w którym żonatym dozwolono osiedlić się poza obrębem więzienia, pozostając jednak pod nieustannym dozorem żołnierza, „aby więzień nie zapominał nigdy o swem położeniu”. W każdym razie była to wielka i korzystna zmiana. Inne panie również wystarały się o mieszkania. Wszystkie te domki, po większej części drewniane chałki, mieściły się na jednej ulicy, która otrzymała nazwę „Rue des Dames” — (Ulica pań).

Tam urodziło się Wołkońskim dwoje dzieci: syn Michał (w r. 1832), a w dwa lata później córka Helena, zwana przez matkę z angielska: Nelly księżna Marja była — jak pisze sama — „u szczytu szczęścia”. Stała się dzie-

ciom swoim karmicielką, niańką a potem — nauczycielką. Żyła tylko dla nich, nie wychodziła zupełnie z domu. Kochała dzieci „miłością szaloną”.

Powoli, koło dzieci, które i innym zesłańcom rozweseliły domy, zaczęło się skupiać całe życie.

To był „uśmiech katorgi”.

Jednej tylko z wygnanek nie starczyło już sił na radowanie się rozkwitaniem dziecka, choć miała ich tyle na przetrwanie najsroźszych prób. Aleksandra Murawiewowa, najmilsza towarzyszka Wołkońskiej, kobieta przedziwna, równie piękna duszą jak ciałem, stroniła się i dogasała jak świeca. Umierała na suchoty w pełnej świadomości końca — „śmierć jej była majestatyczna”. Dyktowała listy, żegnała się, a dopełniwszy, jak święta, obowiązków chrześcijanki, zajęła się wyłącznie mężem. Uczony, chłodny i poważny filozof i publicysta, Nikita Murawiew rozpaczał, umierająca dodawała mu odwagi i pocieszała.

Konała w nocy, a nie chcąc budzić czteroletniej córeczki: „Nonuszeki” kazała sobie przynieść jej lalkę i tę, zamiast dziecka, ucałowała. „Umarła na stanowisku” — pisze Wołkońska — „śmierć jej pograżała nas w smutku, każka z nas zadawała sobie pytanie: „Co moje dzieci poczną, gdy mnie nie stanie?”

(Gdy zmarł — w r. 1843 na osiedleniu już — Nikika Murewiew — sierotkę umieszczono, za staraniem rodziny, w Instytucie dla pańien w Moskwie. Przybyła po nią dama klasowa do Irkucka. Ulubienica Dekabrystów, dziesięcioletnia — Nonuszka, nie chciała się dać zabrać, wyrwała się z karety, płakała rozpaczliwie. Długo nie mogła pani Marja zapomnieć tego odjeżdżającego powozu i krzyku dziecka... Dziewczynkę umieszczono w Instytucie pod nazwiskiem „Nikityny“ t. j. córki Nikity. Dzieci ludzi, pozbawionych praw, nie miały nazwiska. Mała nie chciała nigdy odpowiadać na to nazwisko, musiano ją wołać po imieniu. Gdy cesarzowa odwiedziła pensję pytała jej raz: Dlaczego ty mówisz do mnie: Madame — a nie jak inne panienki: Maman?” Nonuszka odpowiedziała: „Miałam tylko jedną matkę a ta leży pochowana w Sybirze“.)

Gdy dzieci zaczęły dorastać, matki podały prośbę, aby mogły ze swoich pieniędzy pobierać większe nieco kwoty na wydatki, połączone z kształceniem dzieci. Cesarz odpowiedział, że „w Sybirze nauczycieli niema, a więc dzieci nie wymagają nauki, a tylko opieki matek“.

Echo tej odpowiedzi, znanej i komentowanej widocznie za granicą, odbiło się w wierszach de Vigny — w gorzkim ustępie o dzieciach skazanych na nieuctwo;

„—La mère ent bien voulu qu'on leur apprit à lire, puisque ils portaient le nom des princes de l'empire et n'ont rien fait encore qui blessa l'empereur...“

Ale Car odpowiada:

— Un esclave a besoin d'un marteau, non d'un livre!

Tymczasem dzieci owe zostały dobrze wychowane — własnymi siłami — i wyrosły na niepospolitych ludzi.

Pływały lata po latach w Piotrowskim Zawodzie, nie przynosząc żadnych zmian ze sobą prócz tego, że powoli wyjeżdżali na osiedlenie ci, którym kończył się termin robót. Wyjechało również kilka pań, Kamilla Iwaszewowa, słiczna Francuska, zmarła wnet po wyjściu z więzienia, zabita srogością zimy, mąż w krótkim czasie poszedł za nią, a matka, która przyjechała, aby się z nimi zobaczyć zastała tylko sierotki i zabrała je do Rosji.

W r. 1835 umarła matka Sergjusza Wołkońskiego. Pozostawiła, umierając, list do cara, w którym prosiła, aby synowi pozwolił wrócić z Sybiru. Tej prośby Mikołaj spełnić nie mógł ale „dla uszanowania pamięci nieboszczki księżnej“, rozkazał skrócić Wołkońskiemu lata katorgi i wysłać go na „posilenie“. W ten sposób dwudziestoletnie ciężkie roboty, później przez różne ukazy zmniejszone na piętnaście lat, faktycznie skończył się po dziewięciu i pół latach. Ale

zmiana nie nastąpiła tak rychło. Mikołaj miał specjalną niechęć do Wołkońskiego, który, jeden z nielicznych, w śledztwie, uparcie milczał i nie dał się ugiąć praktykom mikołajowskiej inkwizycji. Więc ułaskawiając, postawił warunek, który do rozpacz doprowadził Wołkońskich: aby osiedlić ich zupełnie, osamotnieniu od innych współtowarzyszy. Takie wygnanie mogło być gorszem od więzienia. Księżna zabiega, aby ich przynajmniej przeniesiono tam, gdzie jest dr. Wolf: przyjaciel i opiekun dzieci, często zapadających na zdrowiu: półtrzecia roku ciągnie się korespondencja. Wołkońscy siedzą w Piotrowsku, a ci, którzy nie byli „ułaskawieni“, wyjeżdżają w pierw od nich. Nareszcie „Pan Bóg był na nas łaskaw!“ oddycha księżna — wyznaczają im na miejsce pobytu wieś Urib koło Irkucka w dość znośnym klimacie, ale smutny. „Wszystko mi się jednak tam podobało, gdy mogłam mieć pomoc lekarską dla dzieci“.

(c. d. n.)

K. Bielańska.

Wystawa żeńskiego szkolnictwa zawodowego

(dokończenie)

By skończyć z Warszawą, wymienić należy jeszcze „Szkołę gospodarczo-zawodową“ im. Królowej Jadwigi na Sewerynowie, oraz Kursa „Przemysłu artystycznego“ artystki malarki Eleonory Onichimowskiej przy ulicy Kruczej. W zakres tych kursów wchodzi rysunek, kompozycja, kilimy, dywany, haft, koronki, aplikacja, batiki, metaloplastyka.

Z miast prowincjonalnych pierwszeństwo przyznać należy państwowym szkołom łódzkim. Pierwsza z nich, o wyższym poziomie, dała obok bardzo pięknych okazów krawiectwa, kapelusznictwa, haftów, koronek, bielizniarstwa i t. d. — piękne meble stylowe, wykładane mozaiką drzewną. Rzeczy te stoją na wysokim stopniu artyzmu. Mozaika na stoliku, gdzie wśród fantastycznych lilij klęczy jakiś baśniowy królewicz, o niezmiernie uduchowionym wyrazie całej postaci, jest wprost arcydziełem w swoim rodzaju.

Druga szkoła łódzka ma raczej kierunek praktyczny. Rozwinięto tu zwłaszcza czapnictwo i szewstwo i doprowadzono do wysokiego stopnia doskonałości. Męski, długi but wykończony jest w ten sposób, że współzawodniczyć może z wyrobami najlepszych firm. Zwracają tu także uwagę przeróżnego kształtu i gatunku, bardzo zręczne pantofelki damskie, między innymi modne obecnie pantofle ażurowe z cieniutkiej skórki, na lato bardzo odpowiednie.

Państwowa szkoła koronarska w Zakopanem dała, jak zwykle, prawdziwe cuda, niestety dla polskiego nabywcy niedostępne, gdyż jak słychać cała produkcja artystyczna tego zakładu skontraktowana jest przez kupców amerykańskich.

Państwowe szkoły zawodowe we Lwowie i Krakowie mają poprawić przeprowadzone działy krawiectwa, bielizniarstwa, kapelusznictwa, koronkarstwa i t. d. nie wyróżniają się jednak niczem niezwykłym, lub charakterystycznym. Zarzucićby nawet można szkole lwowskiej, że znajdując się w centrum niesłychanie oryginalnych, barwnych motywów sztuki ludowej zarówno polskiej i jak ukraińskiej, tak mało wchłonęła w siebie tych pierwiastków, tak mało ma właściwego tym okolicom stylu.

Szczególnym brakiem gustu odznacza się wystawa „Państwowej szkoły zawodowej w Poznaniu“. I tam także trzeba by więcej zaczerpnąć od ludu, który przechował przecież tyle ciekawych i pięknych szczegółów stroju i zdobnictwa.

Przeciwieństwem poprzednich — jest wystawa „Państw. szkoły zawodowej“ w Lublinie. Tu widocznie pełną dłoń czerpie się od ludu. A fantazja jego w tamtych okolicach ma w sobie zaprawdę coś z indyjskiej bujności i przerostu. Te pawie, stokrotnie barwniejsze i bogatsze w ozdobność, niż w naturze, te koguty przejawskrawione i fantastyczne, stylizowane kwiaty w niebywałych wazonach — wszystko to przeniesione do przemysłu artystycznego i sztuki zdobniczej wytworzyć może swoisty, oryginalny i pełen charakteru styl. Szkoła w Lublinie nie dąży do tuszowania tej barwności ludowej, jak to zaznacza się w innych szkołach, ma odwagę brać żywcem od ludu i ma słuszność. I właśnie te rzeczy żywe, oryginalne, słoneczne, niepodobne do tego wszystkiego, co się już opatrzyło i spowszedniało z tej i z tamtej strony oceanu, liczyć może na najszybszy zbył, na największe powodzenie u amatorów oryginalnego piękna. W kierunku tym iść powinny wszystkie nasze szkoły zawodowe.

Świetnie postawioną zdaje się być „Państw. szkoła zawodowa im. kr. Kingi“ w Płocku.

Nie dała nic nowego i oryginalnego szkoła zawodowa żeńska żydowskiego towarzystwa warsztatów ręko-dzielniczych we Lwowie, jakkolwiek przypuszczaliby można, że stare, stylowe stroje żydów polskich, zdobnictwo starych synagog i t. d. mogłyby dostarczyć motywów o swoistym charakterze. Nie sięgnięto jednak do tych tradycji.

Państwowa szkoła zawodowa w Sosnowcu, szkoła przemysłowo-handlowa sióstr Zmartwychwstańek w Częstochowie należą do placówek bardzo poprawnie prowadzonych, ale nie przedstawiających nic oryginalnego.

Najwięcej cieszą oczy nasze skromne niekiedy, niekiedy świetnie rozwijające się placówki kresowe.

Do tych ostatnich należy szkoła przemysłu ludowego w Kościerzynie na Kaszubach, założona w 1921 roku. Hafty kolorowe na ręcznikach, lauffrach, serwetach i t. d. mają właściwy sobie styl. Wyróżnić go można wśród bardzo wielu innych. Powtarza się w nim bowiem stale kilka zaledwo motywów i kilka barw. Te wielkie, czerwone róże, przeplatane drobniejszemi, niebieskimi kwiatkami z zielonym listkiem — to jest jednak pono nie nasz styl, a nadmorskiemu ludowi przyniesiony z krajów obcych, pono z Holandji. Brak mu też tej naiwności prymitywa, która stanowi taki wdzięk naszej sztuki ludowej. Obok kilimów, szkoła w Kościerzynie wystawiła także meble ogrodowe koszykową robotą, ale wyścielane, kryte różowym adamaszkiem. Kombinacja niegustowna i niepraktyczna.

Drugą ważną placówką kresową jest Państw. szkoła zawodowa spiskorawska. Rozwija się tu koronkarstwo klockowe, tkactwo, haft kolorowy na szarem płótnie i na białym suknie góralskim. Wszystko to przypomina zakopiańszczyznę, ale jest mniej jaskrawe w tonie i mniej ma rozmach w linjach.

Wzrusza i zadziwia wystawa prac wychowanek ochrony im. Piłsudskiego w Dubnie. Ochrona ta, założona i prowadzona przez Siostry Zmartwychwstanki ze Lwowa daje przytułek gromadce bezdomnych dzieci i kilkunastu starszym dziewczętom, które uczy haftu i koronkarstwa.

W zakresie koronek (point d'aiguille) są tam poprostu arcydzieła. Wystawiony np. szlak do obrusa kościelnego, złożony z kilku oddzielnych części, a w każdej z nich koronkową robotą wypracowana postać jakiegoś świętego lub świętej, posiada wprost artystyczną wartość. Potrafiono bowiem każdej z tych postaci nadać wyraz zamodlenia, ekstazy, pokory i t. d. Jak można to wszystko wykonać igielką, jest rzeczą nie do pojęcia dla profana. Robota ta przedstawia wartość niepowседневną. Jest podobno zamówiona do Paryża za bajeczną jakąś cenę.

Szkoła zasługuje oczywiście na jaknajgorętsze poparcie. Cieszy się też stałą opieką i pomocą Ministerstwa oświaty. Natomiast, jak słyszeliśmy od wiarogodnych osób, które niedawno odwiedziły Dubno, nie znajduje łaski w oczach administracji miejscowej, która zamiast ułatwień i pomocy stosuje do niej system szykan i prześladowań, jakich możnaby tylko po rosyjskim rządzie oczekiwać. Odebrano ochronie obszerniejszy lokal, zwracając go dawnemu właścicielowi, moskalowi, prawo własności czerpiącemu z konfiskaty popowstańczej. Skazano zakład na ścieśnienie się w jednym pokoju, zmuszono

do ograniczenia ilości dzieci z kilkudziesięciu na dwadzieścia kilkoro.

Dlaczego? W jakim celu stosuje się system taki? Należy to wszystko do niezgłęzionych rozumem ludzkim tajemnic administracji wołyńskiej.

Państwowa szkoła zawodowa w Grodnie powstała niedawno. To też wystawa jej jest jeszcze względnie uboga i znać że szkoła nie sięgnęła dotąd do skarbnicy sztuki ludowej. Prowadzi krawieczyznę, bieliźniarstwo. Te same działy oraz tkactwo rozwija państw. szkoła przemysłowo-handlowa w Wilnie, ale już bogatsza jest w wyroby, na wzorach ludowych oparte, pasy, kilimy. Te same tendencje okazuje prywatna szkoła zawodowa im. św. Józefa w Wilnie.

Wreszcie najdalej wysunięte placówki kresowe to państw. szkoła zawodowa w Święcianach i państw. żeńska szkoła zawodowa w Nowej Wilejce. Bieliźniarstwo i krawiectwo, dwa najużyteczniejsze i najpotrzebniejsze działy, poczęto tam rozwijać. Szkoły takie w tych okolicach donioślejsze mają znaczenie niż w wielkich miastach. Stają się ogniskami kultury—promieniującymi na okoliczne wioski, wprowadzają pierwiastek życia w zamarłą od wielu lat toń kresowej miejsciny. I tylko należałoby dopomóc czynnikom rządowym do dalszego tworzenia tych placówek, a dopomóc można przedewszystkiem przez dostarczenie lokali, których brak nie pozwala często na uruchomienie szkoły. Zwracamy na to uwagę naszych niewiast kresowych.

Obok szkół kresowych wzruszającym zjawiskiem są szkoły zakładane po miastach a nawet wioskach zapadłej prowincji naszej. Do takich zaliczyć należy „Warsztaty tkackie“ Matki Le.

Wystawa szkoły gospodarstwa domowego w Chyliczkach zajęła sporą przestrzeń lokalu wystawowego. Ukazano tam działy takie jak, pralnia, mleczarstwo, ogrodnictwo, przetwory, spiżarnia, kuchnia, buchalterja, hafciarstwo, kilimkarstwo i t. d. i t. d. Znać, że szkoła znajduje się na wysokim stopniu rozwoju, co objaśnia się między innymi i długoletniem jej istnieniem.

Władze nasze, przywiązując do tego działu twórczości państwowej niemałą wagę, nadały otwarciu wystawy charakter uroczysty. Obecni byli przedstawiciele władz państwowych z p. Prezydentową Wojciechowską na czele. Otwarcia wystawy dokonała p. Wojciechowska, a następnie, oprowadzana przez referentkę działu żeńskiego szkolnictwa zawodowego w Ministerstwie oświecenia p. Zaborowską okazała bardzo żywe zainteresowanie rozwojem szkolnictwa.

H . . . a.

Na polach pracy i twórczości

DELEGATKA POLSKA NA KONGRESIE W WASZYNGTONIE.

Dr. Budzińska — Tylicka, która reprezentowała Polskę w Waszyngtonie na Kongresie „Międzynarodowej kobiecej Ligi pokoju i wolności“, powróciła w tych dniach do Warszawy.

Nim delegatka nasza sama zda szczegółowo sprawę ze swych działań i wrażeń w Ameryce, dzielimy się z czytelniczkami garstką ciekawych informacji, otrzymanych od niej natychmiast po powrocie.

Kongres trwał od 1-go do 9-go maja. Brały w nim udział delegacje 36 narodów, oraz kilka osób, traktowanych jeszcze jako goście, lub kandydatki do przyjęcia. Do tych ostatnich należały Japonki, Chinki, Hinduski i Greczynki. Czeszki niedawno właśnie zostały przyjęte i raz pierwszy znalazły się na Zjeździe.

Otwarcie Kongresu odbyło się bardzo uroczyście, poczem delegacja Kongresu przyjęta została na uroczystem posłuchaniu przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych. P. Coolidge wystosował do Kongresu pismo z zapytaniem, jakie środki uważa Liga za najodpowiedniejsze dla zapewnienia ludzkości trwałego pokoju.

Za środek taki uważa M. K. Liga wzmocnienie stanowiska Ligi Narodów i zdemokratyzowanie tej instytucji przez przyjęcie do niej wszystkich narodów świata i nadanie wszystkim równego prawa głosu. Dalsze rozwinięcie pokojowego programu Ligi Kobiecej pokoju i wolności mieści się w przyniesionym przez delegację francuską t. zw. „Cahier de la Paix“, nad którego treścią radzić będą poszczególne sekcje i przygotowują opinię swoją o projekcie tym na zjazd następny. Celem aktualnym zjazdu była propaganda idei pokoju powszechnego i podniesienia autorytetu Ligi Narodów przez przystąpienie do niej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Idea pacyfistyczna jest w tej chwili w Ameryce niezbyt popularną, a to ze względu na zaostrzenie stosunków z Japonją. Podjęta zatem propaganda miała niemałe trudności do zwalczania. Odbywała się ona, jak wszystko w Ameryce, na wielką skalę. Tym celom propagandowym gwoli nie podzielił się Kongres na sekcje ani też komisje; wszystkie powiedzenia były publiczne. Rozpatrywano zagadnienie pokoju i wojny z punktu widzenia etyki, psychologii, ekonomji, pedagogji i t. p. Poza tem wieczorami odbywała się nieskończona ilość meetingów publicznych, na których delegatki M. K. Ligi przemawiały na przygotowane przez siebie tematy.

Po ukończeniu Kongresu nastąpiła „tourne'e” propagandowa. Wyjechano do Chicago, zatrzymując się po drodze we wszystkich większych miastach i wszędzie wygłaszając mowy za pokojem i za przystąpieniem Stanów do Ligi Narodów.

Stanowisko delegatki polskiej musiało w wielu razach mieć charakter obronny. Trzeba było zwalczać zakorzenione uprzedzenie co do imperjalizmu i militarystyki polskiego, wskazywać na wyjątkowość naszego położenia i t. d. Nie zawsze też można było solidaryzować się z krańcowo pacyfistycznym stanowiskiem Kongresu. Tak np. przy głosowaniu nad rezolucją Zjazdu, potępiającą bezwzględnie każdą wojnę, zarówno zewnętrzną, jak odporną, jak: zbrojną walkę, wojnę domową, dr. Budzińska-Tylicka zgłosiła votum separatum w imieniu Polski i podkreślając jej bezwzględne i niezłomne dążenie do utrzymania pokoju, wskazała zarazem na niebezpieczeństwa, grożące jej istnieniu.

W Chicago dr. Budzińska-Tylicka poruszyła na meelingu publicznym sprawę mniejszości narodowych w Polsce, przedstawiając zarówno stan aktualny sprawy, jak i czytując najwyższym duchem tolerancji tchnące paragrafy konstytucji polskiej.

Wywołało to pewne niezadowolenie Niemek i Ukrainek.

Te ostatnie, nawiasem mówiąc, jakkolwiek przyznawały sobie prawo reprezentowania wszystkich kobiet narodowości ukraińskiej, nie pochodziły z polskiego terytorjum. Były to dwie emigrantki, jedna z Paryża, druga z Wiednia.

Dr. B. Tylicka mniema, że byłoby łatwiej dojść do porozumienia z obywatelkami polskimi narodowości ukraińskiej, które nawet o porozumienie to się zgłaszały, nie mogły jednak przybyć na Kongres ze względu na trudności pasportowe i koszt podróży.

Poza tem delegatka nasza odniosła wrażenie, że wśród Amerykanek, wogóle z resztą mało wyrobionych politycznie, panuje niewymowna ignorancja spraw polskich. Uważa się nas zawsze za kawałek Rosji, tonący w ciemności i barbarzyństwie.

Spotykała się z takimi pytaniami np. jak czy mamy urządzenia elektryczne, czy mamy uniwersytety. Gdy powiedziała im datę założenia pierwszego w Polsce uniwersytetu, zadziwiono się „starożytności” naszej kultury.

Stanowisko delegatki naszej, którą stale zaliczano do prawego skrzydła Kongresu, zdobyło jej od krańcowych pacyfistek Ligi miano nacjonalistki i militarystki. Musiało to być dla dr. Budzińskiej Tylickiej wrażeniem zupełnie nowym, gdyż w kraju spotykają ją zawsze zarzuty wprost przeciwnego charakteru.

SZKOŁA HODOWLI DROBIU.

Wzorowa szkoła hodowli drobiu powstała niebawem w Julinie o 4 kilometry od Łochowa. Julin jest to ładna miejscowość nad Siwcem, z domem dwupiętrowym, sadem, ziemią orną i lasem; razem około 3-ech włók opszaru.

Miejscowość tę zakupiła p. Helena Paderewska, celem urządzenia w niej wzorowej fermy hodowli drobiu.

Dom przebudowano, zaprowadzono instalacje, niezbędne dla racjonalnej hodowli, a nadto oświetlenie elektryczne, kanalizację i t. d. Zbudowano kurniki wzorowe, siatki druciane, baseny z przepływającą przez nie wodą i t. d. i t. d.

Do tak urządzonej osady przysłała p. Paderewska w czerwcu roku ubiegłego sto sztuk wyborowego drobiu z majątku swego w Morges, w Szwajcarii, a w r. bieżącym, przybywszy do Julina, sprawdzić mogła, że ptactwo przystosowało się doskonale do naszego klimatu i że hodowla rozwija się wybornie, ludność zakupuje jaja i starosta dopomina się o filje z gniazdami zarodowemi w różnych miejscach powiatu.

Szkoła otwarta zostanie prawdopodobnie na jesieni. Dom zmieścić może 30 do 40 uczenic.

„OGNIKO” W SULEJÓWKU.

W r. 1920 powzięła p. Paderewska myśl założenia schroniska dla pozbawionych rodziny i przyjaciół starszerek z inteligencji. Zakupiwszy dom w Sulejówku, przeznaczyła go na mieszkanie dla tych najbardziej opuszczonych, najsmutniejszą dolą dotkniętych.

Wyjeżdżając z Polski, powierzyła zaaludnione już „Ognisko” „Towarzystwu pomocy inteligencji”.

Towarzystwo to, założone z inicjatywy państwa Kiniewiczów, czyni zadość, w pewnej przynajmniej mierze, bardzo mocno odczuwanej dziś potrzebie społecznej. Przy przejmowaniu w Sulejówku „Ogniska” do zarządu Towarzystwa weszły z ramienia fundatorki panie Rembielińska i Szyllerowa.

Podczas tegorocznej bytności w kraju odwiedziwszy Sulejówkę p. Paderewska przekonać się mogła, że zapoczątkowana przez nią instytucja rozwija się pomyślnie.

Serdecznie przyjmował ją zarząd i siwowłose mieszkanki w „Ognisku”.



MA KONGRESIE GLEBO-ZNAWCZYM

W dniach od 12 do 17 maja r.b. odbył się w międzynarodowym Instytucie rolniczym w Rzymie II-gi międzynarodowy kongres gleboznawczy. Zgromadził on przedstawicieli instytucji naukowych całego świata, między innymi, Japonji, Indji i Abisynji. Z Polski przybyli na zjazd prof. Miklaszewski, Skotnicki, prof. Sjoma, dr. Mieczysławski, dr. Tomaszewicz z Puław, oraz dr. Ziemięcka, jedyna na kongresie tym kobieta.

P. Ziemięcka, córka inżyniera Marczewskiego, skończyła rolnictwo w Krakowie i jest obecnie asystentką prof. Mikułowskiego, Pomorskiego,

H...a

W SPRAWIE „CHYLICZANKI”

Redakcja „Bluszczu” otrzymała od redakcji rocznika „Chyliczanka” pismo, które w całości przytaczamy poniżej, a które rzuca światło na ideologię organizacji „Koła Chyliczanek”.

(przyp. Red.)

W № 23 „Bluszczu” przeczytaliśmy w rubryce p. t. „Na polach pracy i twórczości” wzmiankę, zatytułowaną „Chyliczanka”. Są to uwagi o roczniku, wydanym przez Koło b. uczenic zakładu Chyliczkowskiego, a wydrukowanym w niewielkiej ilości egzemplarzy i przeznaczonym jedynie dla członkiń Koła. Wzmianka, utrzymana z początku w tonie obiektywnym, a nawet podnosząca z uznaniem zasługi Chyliczek, jako placówki kulturalnej i społecznej, kończy się krytyką przemówienia przewodniczącej Koła, której zarzuca pochopność „do nazywania ludzi, nie podzielających poglądów Koła Chyliczanek — wrogami Ojczyzny”, oraz niechętny sąd o ludzie polskim, który miał rzekomo zawiesić oczekiwania narodu i t. d.

Jest to zbyt ostry sąd o instytucji, tak zasłużonej na polu krzewienia uczuć obywatelskich wśród wszystkich warstw ludności bez wyjątku, oraz osoby, która tej instytucji była długoletnią kierowniczką. Każdy, kto miał sposobność zetknięcia się z Chyliczkami, wie, jaka wśród nich panuje atmosfera gorącej miłości dla Polski i dla wszystkich jej synów bez różnicy stanu i przekonań politycznych. Ale nikt chyba z patrzących jasno i zdających sobie sprawę z obecnego stanu rzeczy w kraju naszym, nie może zaprzeczyć, iż ukryte a wrogie Polsce siły szerzą zbyt dużą agitację wśród ludności wiejskiej i miejskiej, naszego kraju, agitację, zmierzającą do popchnięcia ojczyzny naszej w przepaść anarchji. Te to ciemne siły nazywają przedstawicielki Koła Chyliczanek, narówni, jak sądzimy, ze wszystkimi innymi polakami, „wrogami Ojczyzny”.

Redakcja „Chyliczanek”.



RUCH KOBIECY W JAPONJI.

Japończycy narzekają, iż ruch kobiecy, za przykładem Ameryki i Europy, przybiera także i w Japonji coraz szersze rozmiary. Skargi to jednak są niesłuszne. Ruch kobiecy w Japonji nie jest rzeczą bynajmniej nową, przeciwnie, ma za sobą przeszłość... z górą tysiącletnią.

W rzeczy samej, kobieta już w wieku VIII naszej ery odgrywała wielką rolę w życiu artystycznym i kulturalnym Japonji. Owcześnie literatura japońska istnienie swe zawdzięcza przedewszystkiem kobiecie. Pisarze japońscy tego okresu piszą wyłącznie w języku chińskim. — W ten sposób kobieta japońska przyczyniła się w bardzo znacznym stopniu do stworzenia literatury narodowej.

W okresie od roku 800 do 1200 Japonki wywierają również silny wpływ na życie narodu: niektóre z nich dostają się do steru rządów i sprawują je ku ogólnemu zadowoleniu i z wielkim pożytkiem dla kraju.

Jedno z arcydzieł literatury japońskiej — prześliczna opowieść, opisująca życie dworskie w Tokio — napisana została przez kobietę, słynną autorkę Masaraki.

Po tej dobie najbujniejszego rozkwitu przyszedł okres upadku ruchu kobiecego w Japonji. Dopiero z końcem ubiegłego stulecia, budzi się świadomość japońek i podejmują one nowo starania, celem wzięcia bezpośredniego udziału w życiu społecznym i kulturalnym swego narodu.

Dziewczęta japońskie od r. 1870 udają się do Ameryki, aby tam uczęszczać do szkół nowoczesnych i uzyskać wiedzę, której nabrać nie mogły we własnym kraju. Obecnie zaszły pod tym względem zmiany na lepsze, a uniwersytet w Tokio jest jedyną uczelnią na Dalekim Wschodzie, dostępną także i dla kobiet.

OBAWA WYLUDNIENIA.

Francja walczy już oddawna z niebezpieczeństwem wyludnienia, jakie jej zagraża wobec stale zmniejszającej się liczby urodzeń. Wiele stowarzyszeń kobiecych rozwija gorliwą działalność, w celu zażegnania tej klęski. Między innymi „Stowarzyszenie Matek” w Paryżu, wychodząc z założenia, iż wielka śmiertelność dzieci w wieku niemowlęcym spowodowaną jest w przeważnej większości wypadków złymi warunkami higienicznymi, zwłaszcza zaś mieszkalnemi, prowadzi kompanię przeciwko tym

brakom, starając się przystosować w miarę możliwości obecne mieszkania robotnicze do koniecznych wymagań higieny, oraz popierając budownictwo nowych domów, Z inicjatywy tego stowarzyszenia ma powstać cały szereg domów robotniczych na przedmieściach Paryża.

Znana autorka francuska, pani Aurel, wydała piękną i ciekawą książkę pod tytułem: „Une politique de la maternité”, w której zastanawia się poważnie nad kwestją wyludnienia oraz wskazuje środki, jakie powinny być zastosowane, celem zapobieżenia tej klęsce.

SPRZEDAŻ KLEJNOTÓW ŻONY PREZYDENTA THIERSA.

W tych dniach ma się odbyć w Paryżu licytacja klejnotów, będących własnością żony dawnego prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej, Thiersa. Klejnoty te mają niezmiernie wysoką wartość, najcenniejszym zaś jest naszyjnik z pereł, w którym wartość każdej poszczególniej perły oceniona jest na milion franków.

Suma osiągnięta ze sprzedaży tych klejnotów będzie więc napewno bardzo wysoką. Ogólne zainteresowanie, jakie wzbudza ta licytacja, świadczy o tem, że dużo jest osób w Paryżu, które mogą sobie pozwolić na kupno tak zbyt kosztownych klejnotów.

LAURÉATKA „TAŃCÓW MARATOŃSKICH”.

W mieście Torrebu w Meksyku odbył się konkurs popisów maratońskich, w których brała czynny udział także i drużyna kobieca. Palmę zwycięstwa otrzymała niejaka pani Marja Moreno, 59-letnia championka t. zw. „tańców maratońskich”, tańczyła bowiem przez 63 godziny z rzędu!

Żadna z młodych jej współzawodniczek nie była w stanie dotrzymać jej placu. Pani Moreno ogłosiła zatem wezwanie do wszystkich kobiet, które uprawiają ten rodzaj sportu, bardzo starożytny, a obecnie wznowiony przez drużyny sportowe meksykańskie, aby stanęły z nią w zawody — przyczem oznajmia, iż podejmuje się niechybnie zwyciężyć każdą współzawodniczkę w swoim wieku, a nawet o dziesięć lat młodszą.

NIEZWYKŁA DZIEWCZYNA.

Czytamy w piśmie londyńskim „The Observer” wiadomość sensacyjną, że w jednej z wiosek serbskich znajduje się młoda dziewczyna, będąca prawdziwym fenomenem natury. Obdarzona ona jest podobno dziwną jakąś własnością radioaktywną organizmu, wskutek której nie może mieć na sobie żadnego ubrania, w przeciągu kilku godzin bowiem wszystkie tkaniny, któremi jest okryta, przechodzą proces rozpadania i wkońcu rozsypują się całkowicie. Fakt ten, oczywiście, wzbudził ogromne zaintereso-

wanie miejscowej ludności, która uważa tę dziewczynę za nawiedzoną przez złego ducha. Policja musiała już kilkakrotnie interwenjować w bójkach, które wynikały z tego powodu. Obecnie ciekawy ów okaz ma być przewieziony do miasta i oddany pod obserwację uczonych.

JAKĄ POWINNA BYĆ ŻONA IDEALNA?

Jedno z pism francuskich ogłosiło ankietę pod tym tytułem, na którą napłynęła wielka ilość odpowiedzi. Niektóre z nich podajemy poniżej:

„Żona idealna? Szukałem jej przez lat pięćdziesiąt — aż wreszcie, zmęczony niepowodzeniem, ożeniłem się — z moją gospodynią. Ta przynajmniej — myślałem, zna moje upodobania, przyzwyczajenia i wymagania, a więc będzie żoną, zbliżoną do idealu. Lecz cóż się stało? Nazajutrz po ślubie małżonka moja — zgodziła nową gospodynią. I oto teraz trzeba mi będzie przez nowe dziesięć lat przyzwyczajać moją nową gospodynię do moich wymagań — bo żona moja, oczywiście, nie myśli już bynajmniej o zastosowaniu się do nich...

Jeśli tak dalej pójdzie, to za lat dziesięć będę musiał rozwieść się z moją żoną, ożenić się z obecną moją gospodynią i wziąć pierwszą moją żonę za gospodynię — może sobie wtedy przypomni moje gusta i potrafi się do nich zastosować na nowo...”

„Żona idealna — pisze drugi — to ta, która potrafi zrozumieć swego męża i wytworzyć z nim współżycie harmonijne”. W takim razie swego rodzaju ideałem byłaby słynna bandytka amerykańska „piękna Helena”, która bezsprzecznie potrafiła zastosować się do upodobań swego małżonka — bandyty, współpracowała z nim w najdoskonalszej harmonii, a dziś oboje są razem w więzieniu...

Wreszcie, pewien pesymista wygłasza następującą sentencję:

„Żona idealna istnieje niezawodnie. Lecz jeśli nam się uda ją znaleźć, nie poślubiajcie jej... mogłaby się bowiem okazać gorszą przy bliższem poznaniu”.

RÓŻNICA WYMAGAŃ.

W jednym z dzienników nowojorskich czytamy następującą filozoficzną uwagę na odwieczny temat: „Mężczyzna i kobieta”.

„Mężczyzna, który nie pije, nie pali, nie uprawia hazardu i nie zdradza swej żony, uważany jest za szczyt doskonałości i cnót rodzinnych. Ale kobiet, które nie piją, nie palą, nie grają w karty i koncentrują wszystkie swe myśli i uczucia w obrębie własnego domu i rodziny, jest taka nieskończona ilość milionów, że nikt nie uważa ich cnoty nawet za godną wzmianki”.



Z TEATRÓW

„Małżeństwo Fredeny” — komedia w trzech aktach André Picarda i V. A. Jager — Schmita; reżyserował Aleksander Zelwerowicz.

Komedia zrobiona według przepisu: jest tam diva z kabaretu, jest rozkapryszony, namiętny młodzieniec, jest gruby fabrykant konserw (jakże mogłoby być inaczej), są dziewczynki z ulicy mocno wydekoltowane, jest wreszcie „mama” — brzydka, gruba i rozpaczliwie głupia, słowem jest to wszystko, czego wymaga przepis na komedię, która się ma podobać publiczności i ma „robić kasę”. Ale przedewszystkiem musi być aktorka, która weźmie na swe barki obowiązek bawienia publiczności w ciągu trzech aktów, która będzie przebierać się na scenie, przepraszam, właściwie rozbierać się na scenie, która będzie tańczyć „Can-Can” i „Chymy”, będzie śpiewać, śmiać się, dokazywać, upijać się szampanem i czarować publiczność. Chodzi właśnie o taką aktorkę, bo bez niej sztuka jest mało warta, a mówiąc całkiem szczerze — nic nie warta. Na szczęście taką właśnie aktorkę posiada teatr „Komedia” w osobie pani Cwiklińskiej. Jej też zawdzięcza sztuka, że widz zamyka oczy na banalną treść komedii, zdaje się nie zauważać słabych lub niefortunnie naperfumowanych dowcipów, a nawet nie nudzi się, gdy na scenie zaczynają rozbrzmiewać sentymentalno-głupie frazesy, lub rozgrywa się „tragedja” zdeptanego serca, która właściwie nic nikogo nie obchodzi. Fredena, kokota wystrojona w brylanty i najpiękniejsze jedwabie, kocha pajaca-arklina, biednego głuptasa, (któremu można darować niemądra minę, lecz trudno wybaczyć złą postawę), a wychodzi zamąż za bogatego fabrykanta. Ale to są rzeczy bez znaczenia — podstawą sztuki tej jest to, że pani Cwiklińska, z nieporównanym wdziękiem, umie ruszać się po scenie i nosić śliczne toalety.

P. Zelwerowicz robił, co mógł, by nadać tej nic nie znaczącej sztuce choćby pozory sensu — i cel swój osiągnął — publiczność wychodzi z teatru rozbawiona, szczególnie wtedy, gdy zostawiła swe wykwiłtniejsze wymagania w garderobie wraz z płaszczem i kapeluszem, a zabrała z sobą na widowieństwo tylko potrzebę śmiechu.

A.

PARASOL

Ktoby przypuścił, że parasol może mieć własne swoje dzieje i swoją kartę męczeństwa i znaczenie godeł hierarchji, stanów, godności? Ktoby mógł sądzić, że da się o nim powiedzieć coś więcej ponadto, że — służąc dla ochrony przed deszczem, oddaje ludziom duże usługi? A jednak...

Używany w Azji od najdawniejszych czasów, został sprowadzony do Europy i Ameryki przed stu laty za ledwo. Pierwszy człowiek który ukazał się z nim na ulicach Londynu około 1750 r. w jakiś dzień deszczowy, sprowadziwszy go sobie z Persji, wygwizdany był i obrzucony kamieniami przez gawiedź wielkowiejską.

Kroniki zanotowały nazwisko męczennika: Jonas Honway.

Parasol, mimo prześladowań, utrzymał się, ale weszło w zwyczaj, że nad głowami ludzi bogatych trzymała go służba, odpierała ciosy uliczników. Trwało tak, dopóki nie spopularyzowało się to nieocenione narzędzie osłony przed deszczem.

W Chinach po liczbie parasoli poznawane było do niedawna jeszcze stanowisko danej jednostki. Przed cesarzem niesiono ich 24, przed następcą tronu 10, przed zwykłymi książętami i szlachtą 5, 3, 2, zależnie od stopnia piastowanego urzędu i rodowej hierarchji.

Między licznymi tytułami, jakie piastuje król Sjamski, jest też tytuł najwyższego właściciela parasola. A mowa tu nie o tym zwykłym, w bambus oprawnym, jaki nosi większość ludzi południowo-wschodnich, lecz o godle stanu: parasolu z purpurowej materji, bogato przybranej kosztownymi kamieniami i zakończony białym, jedwabnym obrębem.

Kiedykolwiek i dokądkolwiek król udaje się, służba niesie nad głową jego tę wspaniałą osłonę, a kara śmierci grozi tym, coby ośmielili się otworzyć owo godło władzy i używać go samowolnie.

W czasie wielkich uroczystości wznosi się nad królem cała masa parasoli, ułożonych piramidalnie na kilka pięt wysokości, a każdy z nich obwieszony jest małymi dzwoneczkami, zwiastującymi już zdaleka nadejście lub obecność panującego.

Całe poematy poświęcone są na Dalekim Wschodzie tym różnobarwnym, jak pstre motyle, tarczom obronnym przeciw palącemu słońcu i potokom deszczu, że przypominny choćby tylko zbiorek poezji japońskich w tłumaczeniu Remigjusza Kwiatkowskiego: „Parasol noś i przy pogodzie”...

Europejczyk ceni wielce parasol, jako cudowny środek ochrony przed nawałą ulewy, ale dokucza mu ciągle noszenie się z nim w dnie chmurne, kiedy deszcz nie pada jeszcze, ale wisi ponuro nad głowami. W Brukseli zatem ktoś wpadł na pomysł zawiązania Towarzystwa wynajmu parasoli. Każdy członek opłaciwszy pewną składkę roczną, ma prawo w razie deszczu wejść do pierwszego lepszego sklepu, w którym dane zrzeczenie ma swoją składnicę i zażądać — po wykazaniu się odpowiednią legitymacją — wypożyczenia parasola, który po skończonej ulewie zostawić może w innym składzie, objętym przez dane Towarzystwo, a będącym bardziej po drodze.

Człowiek południowo-wschodu nie śpieszy się nigdy, a żar słoneczny, po którym następują czasami deszcze gwałtowne, zmusza go do troski o ciągłą osłonę nad głową Europejczyk, Amerykanin w ustawicznym pościgu za czasem, którego nigdy nie ma dosyć, stara się odrzucić precz wszystko, co mu ciąży, zawadza i zajmuje ręce, objuczone tekami, papierami, książkami lub sprawunkami.

Zwyczaj belgijski — zrzeczania się w celu wynajmu parasoli — znajduje niewątpliwie zastosowanie i w innych krajach gorączkowego business'u.

al.

DORAŻNA POMOC Lekarzy Specjalistów

w Warszawie

„AUXILIUM”

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w gabinetach lekarzy KONSYLJA

222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

Polecamy doskonałe mydło przeciw łupieżowi

TOW. AKC. „Fr. Karpiński”
W WARSZAWIE.

ŻYWIENIE DROBIU

Niezmiernie ważną, a aktualną obecnie sprawą są sposoby takiego, a racjonalnego żywienia drobiu. Żadna dziedzina hodowli tak nie wymaga trzymania się pewnego systemu, jak żywienie. Inaczej marnuje się bardzo wiele karmy, np. gdy się ją podaje nieregularnie, rzucając kurom bez względu na ilość i czas. Gdy się drobiowi da za mało, źle się niesie, gdy znów czasem zbyt dużo, zapasa się i przestaje nieść również. Jedynie przy regularnym karmieniu określoną ilość razy dziennie, — zawsze w odpowiednich korytkach, aby karma została od razu całkowicie spożyta, a nie zdeptana w ziemię lub zmieszana z nawozem — możemy dojść do tego, że opłaci się nam skarmianie nawet droższemu pożywieniem.

Wartość odżywcza ziarna bowiem, dużo lepiej jest wyzyskana, gdy się je daje naprzemian z miękką karmą, przyczem w lecie wystarczy zadawać ziarno tylko raz dziennie, w zimie dwa razy: rano i wieczorem; w południe zaś paszę miękką.

Karma miękką musi zawierać trzy składniki: węglowodany, białka i tłuszcze. Węglowodany dajemy w postaci ziemniaków, kapusty, buraków, które w zimie zastępują często świeżą zieloninę. Białko zadajemy w najrozmaitszych odpadkach: krwi bydłowej, mączki rybiej, suszonych i mielonych chrabąszczach, otrębach, mleku zbieranem i t. d., wreszcie w siekanem i parzonem sianie z pokrzyw i koniczyny. Tłuszcze znajdujemy zwykle w powyższych pokarmach, szczególnie w chrabąszczach, odpadkach kuchennych, a specjalnie zadajemy je w mące owsianej, jęczmiennej, wreszcie w formie łoju, lub szmalcu, lecz tylko, gdy chodzi o tuczenie.

Obfitość zieleniny w karmie miękkiej ma wielkie znaczenie, poparte praktyką i teorią. (W Instytucie naukowym w Puławach wykryto we wszystkich surowych produktach ciała do białka zbliżone: witaminy, które rozłożone pod wpływem gotowania lub wyższej temperatury, nie są już tak korzystnie wyzyskane przez organizm).

Niejednokrotnie przekonałam się, jak niezmiernie ważnym jest dodatek fosforanów wapnia, najlepiej kości, które przyczyniają się do lepszego rozwoju całego układu kostnego młodego drobiu.

Z osłabienia nóg u kurcząt wyleczyłam prawie wszystkie przez dodawanie codziennie do pożywienia mączki z kości, mielonych w specjalnym młynku.

Jest to jeden z licznych dowodów, jak dalece ważnym jest stosowanie się w hodowli do zbadanych potrzeb organizmów, czyli stopniowe choćby zastosowanie praktyki do teorii.

Normalne żywienie, a więc według powyższych zasad zastosowane dla małych piskląt niejednokrotnie jest ważną przyczyną ich rozwoju.

Kilkudniowym kurczętom należy naprzemian zadawać kaszę prażoną z zieloninką (owies lub pokrzywa usiekana), oraz kaszę surową. Po 5-ciu tygodniach ponadto ziemniaki.

Gatunki kasz również należy zmieniać: jęczmień, gryczana, jagłana.

Małym indyczątom prócz powyższego „menu” należy dodawać do prażonej kaszki twardog, tak aby nigdy karma nie była zbyt wilgotna, lecz w drobnych kawałkach rozsypana po korytku.

Można obsypać karmę otrębami pszennymi, lub kaszanami, suszonymi pokrzywami.

Młodym kaczątkom należy dawać więcej objętościowej karmy, a więc ziemniaków, zieleniny, siewki z zielonej kukurydzy, koniczyny.

Kaczki zresztą są mało wybredne i żarłoczne bardzo: jedzą wszelkie napotykanne na drodze owady, ślimaki, rzęś ze stawów, wodne i lądowe rośliny.

Gęsiętom jako pierwsze pożywienie najlepiej dawać rozdrobiony chleb, zmieszany z drobno posiekaną pokrzywą, posiekaną trawą i odpadkami warzyw z kuchni oraz siekanym jajkiem.

Po kilku dniach można dawać zaparzoną sroć jęczmienną, dwutygodniowym ponadto ziemniaki, a czterotygodniowym moczony owies i jęczmień, zieleninę skubią sobie same.

W czasie opierzenia się gęsiąt i podczas pierzenia się ogólnego starego drobiu należy nieco forsowniej żywić: bardzo dobrem pożywieniem jest ziarno słonecznika, zawiera bowiem znaczny procent tłuszczu, dając połysk piórom.

Bardzo ważną rolę przy żywieniu i wogóle hodowli drobiu odgrywa czysta i świeża woda do picia.

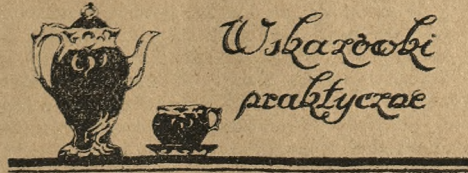
Nietylko, że niezbędna jest do trawienia, ale odwodzi ptactwo domowe od kałuży, stawów i wogóle wód stojących, zakażonych bakteriami chorobotwórczymi.

Dla najmniejszej liczby sztuk hodowanego drobiu opłaci się sprawić pudełko, lub specjalne naczynie, zabezpieczone od zanieczyszczenia, choćby w tak prymitywny sposób, jak ogrodzenie patyczkami, zostawiając przestrzeń między niemi taką, aby ptactwo głowę wsunąć mogło.

Gdybyśmy zwrócili uwagę na wszystkie wymagania racjonalnej hodowli, a więc na pomieszczenie, dobór materiału możliwie jednolitego t. j. pewne rasy, żywienie, selekcja, nietylko hodowla drobiu stałaby się z czasem bardzo zyskowną gałęzią gospodarstwa, ale uniknęlibyśmy z pewnością wielu chorób, wywołanych przez bakterje chorobotwórcze, rozmnażające się w wodzie, jak cholera, tyfus i t. d., lub przez pasożyty w pierzach (wszy, piórogryzy), lub w skórce (wapniaki), lub wreszcie spowodowanych nieregularnym odżywianiem stęchłą, skwaśniałą paszą i t. p. — i drób stałby się zresztą przy racjonalnej hodowli o wiele odporniejszy na wszelkie infekcje.

Szczegółowiej o chorobach drobiu pomówię w następnym numerze.

M. Morzkowska.



SZTUFADA NA ZIMNO.

Wybić dobrze podłożony kawał mięsa od krzyżówki lub zrazowej, naszpikować świeżą lub lepiej wędzoną słoniną, osolic, nieco popieprzyć, dać tak poleżeć godzin kilka. W rondlu zrumienić łyżkę masła, lub rozpalic łyżkę szmalcu, zrumienić mięso ze wszystkich stron, włożyć dużą marchew, porę, pietruszkę, pół selera, dwie cebule. Wszystko drobno pokrajane, plasterki cytryny ze skórką, kilka ziarn zwykłego i angielskiego pieprzu (zieli), dwa goździki, gałązkę majranku, listek, pół szklanki octu, jeśli jest, kieliszek jakiego wina, przykryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu, podlewając rosołem lub chociaż wodą, aż mięso zmięknie. Pieczeń wyjąć, pokrajając na cienkie plastry, ułożyć na głębokim półmisku. Na trzyfuntową pieczeń rozpuścić w szklance wody dwa luty żelatyny, gdy sos nieco przestygnie, zdjąć zeń wszelką tłustość, przefasować przez sito, zmieszać z żelatyną, wylać na mięso, zastudzić w chłodnym miejscu. Przed podaniem brzeg półmiska ubrać latem sałatą, zimą jarmużem. Do takiej pieczeni podaje się chrzan z octem, sos tatarski, sos provençal, lub zwykłą francuską musztardę.

Pani Elżbieta.

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

„KOŁORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

ZUPA POMARAŃCZOWA.

Na pięć dużych, głębokich talerzy wziąć trzy pomarańcze duże o cienkiej skórce, — zółtość ze skóry otrzeć ostrą tarką lub kilku kawałkami kostkowego cukru. Pomarańcze obrać i pokrajać w drobne kawałki. Półtora litra wody zagotować z pół funtem cukru, wrzucić pomarańcze, otartą skórkę, zagotować i dobrze wystudzić. Z pół kilo najlepszej mąki amerykańskiej, jajka i wody, zagnieść ciasto jak na domowy makaron, osolic, lecz bardzo niedużo, — pokrajać w jaknajcieńsze kluseczki, ugotować i ostudzić. Przed samym podaniem już włożyć kluseczki w wazę, zalać zupą, dodać półkwaterek najlepszej, gęstej śmietany, wymieszać i natychmiast podawać. Wyborna, orzeźwiająca na upał, łatwa do przyrządzenia i stosunkowo niekosztowna zupa, którą dopiero w tych dniach po raz pierwszy jadłam.

Pani Elżbieta.

Książki nadesłane do Redakcji.

Nakładem „WIELKIEJ BIBLIOTEKI” wyszły z druku:

- 1) *Juljusz Słowacki*: „Mazepa”;
 - 2) *J. I. Kraszewski*: „Historja o Januszu Korczyku i o pięknej Miecznikównie”;
 - 3) *Molier*: „Mizantrop”;
 - 4) *Zygm. Krasziński*: „Psalmy Przyszłości”;
 - 5) *Sew. Goszczyński*: „Król Zamczyska”;
 - 6) *Franc. Zablocki*: „Fircyk w Zalotach”;
 - 7) *Wil. Shakespeare*: „Romeo i Julja”;
 - 8) *Wil. Shakespeare*: „Makbet”;
 - 9) *Wil. Shakespeare*: „Juljusz Cezar”;
 - 10) *Byron*: „Korsarz”;
 - 11) *Shelley*: „Epipsychidjon”;
 - 12) *John Keats*: „Hyperjon”;
 - 13) *Eurypides*: „Ifigenja w Aulidzie”.
- Książki te powinny się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej.

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

| | TEATR WIELKI | ROZMAITOŚCI | LETNI | POLSKI | MAŁY | KOMEDJA |
|------------------|-------------------|-------------------|--|-------------------|-------------------|----------------------|
| Niedziela 6/VII | | „Nieprzyjaciółka” | „Dwaj Mężowie p. Marty” | „Miłość czuwa” | „Knock” | „Małżeństwo Fredeny” |
| Poniedz. 7/VII | | „ ” | „ ” | | | „ ” |
| Wtorek 8/VII | | „ ” | „ ” | | | „ ” |
| Środa 9/VII | N i e c z y n n y | „ ” | „ ” | N i e c z y n n y | N i e c z y n n y | „ ” |
| Czwartek 10/VII | | „ ” | „ ” | | | „ ” |
| Piątek 11/VII | | „ ” | „ ” | | | „ ” |
| Sobota 12/VII | | „ ” | „Promienie F. F. Brunona Winawera” (premjera) | | | „ ” |
| Niedziela 13/VII | | „ ” | „ ” | | | Nieczynny |

BARDZO WAŻNE!**Od Administracji.****BARDZO WAŻNE!****DO SZANOWNYCH PAŃ PRENUMERATOREK!**

Od 1-go b. m. cena pojedynczego numeru „BLUSZCZU“ wynosi 1 złoty 20 groszy Ceny „Bluszczu“ w prenumeracie nie podwyższamy. Arkusz wzorów robót do kopjowania posyłać będziemy tylko tym Szan. Prenum., które wniosą miesięcznie kwotę **4 złote.** Ponieważ poprzednia odezwa nasza o uregulowaniu zaległości w prenumeracie odniosła częściowy skutek, dlatego też, wczuwając się w trudną sytuację Czytelniczek, **przedłużamy termin wyrównania zaległości do 10 lipca b. r.** Prosimy jednak, aby Czytelniczki również wniknęły w trudną sytuację „Bluszczu“, który musi regularnie opłacać koszty druku, papieru, musi natychmiast pokrywać wydatki Administracji i Redakcji i nie może absolutnie zaciągać żadnych długów. **Istnienie „Bluszczu“, jego regularna wysyłka Szan. Pren. zależne są wyłącznie od punktualności w uiszczaniu prenumeraty. Wszystkim Szan. Pren., zalegającym choćby z najmniejszą kwotą, po upływie powyższego terminu, wysyłkę tygodnika bezwarunkowo wstrzymamy.** Za wznowienie wysyłki liczyć będziemy należność dodatkową w kwocie 50 groszy. Stwierdzamy, że wysyłka „Bluszczu“, jest przez Adm. bardzo dokładnie sprawdzana i ewentualne niedokładności w otrzymywaniu numerów przez Sz. Prenum. nie pochodzą z winy Admin., która wszystkie numery—ze względu na uiszczanie opłaty poczt. ryczałtem—dostarcza Urzędowi poczt. za konsygnacją. **Wysyłkę „Bluszczu“ wstrzymujemy po otrzymaniu zawiadomienia o przerwaniu prenumeraty, lub też w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca, co nie zwalnia od uiszczenia należności za wysłane, a przyjęte przez prenumerat. numery.** **W razie nieotrzymania „Bluszczu“ we właściwym czasie, należy natychmiast numer odnośny zareklamować kartką korespondencyjną, która nie jest wolną od opłaty pocztowej, jak to mylnie podano w komunikacie Adm., umieszczonym w 24 numerze „Bluszczu“.** Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobierania kosztów. **Na wszelką korespondencję Sz. Pren. odpowiadamy tylko w razie przesłania znaczków poczt. na odpowiedź.** Przy przesyłaniu należności za prenumeratę czekiem P. K. O., jak również przy zamawianiu listownem tygodnika, należy podać dokładny i wyraźny swój adres.

„Bluszcz“ wychodzi co tydzień w sobotę. Do każdego numeru dołącza się bogato ilustrowany dodatek mód i robót, oraz dodatek powieściowy formatu książki, zaś raz na miesiąc do pierwszego n-ru. po 15-ym, bezpłatnie, tablicę krojów. Również można otrzymywać stale miesięcznie jeden arkusz naturalnej wielkości wzorów haftów do kopjowania na materiale, za dopłatą 50 groszy, którą należy wpłacać wraz z prenumeratą. Arkusz ten dołącza się do drugiego Nr. „Bluszczu“ po 15-tym każdego miesiąca. Prosimy o rozpowszechnianie „Bluszczu“ w kołach swoich znajomych. Panie, które zjedną nam 5 nowych prenumeratorek, wpłacających prenumeratę półroczną z góry, otrzymają „Bluszcz“ do końca roku bieżącego **bezpłatnie.** Prosimy o umieszczanie korespondencji na czekach P. K. O. **w wyznaczonym na korespondencje miejscu,** gdyż wszelkie uchybienia w tym względzie, powodują potrzebę pisemnych wyjaśnień.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 27

206. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 13 z płócienka w kratkę niebieską z białym, przybrana niebieską satyną.
207. Suknia z popielatego crepe marocain z białymi wypusteczkami.
208. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z kreponu w dwóch cieniach, przybrana haftem.
209. Suknia z surowego jedwabiu w pasy. Kołnierzyk z białego opalu.
210. Suknia z woalu ciemno zielonego, z kłozowemi falbanami, przybrana haftem kolorowym.

Tow. Akc. Fr. KARPIŃSKI
w Warszawie.

POLECA: O PRZYJEMNYM ZAPACHU

Mydło od łupieżu

niszczy łupież, wzmacnia cebulki, doskonale działa na porost włosów.

211. Suknia z fularu deseniowego. Kołnierzyk i mankiety z białego jedwabiu.
212. Sukienka dla dziewczynki od lat 12 do 15 z granatowego i białego płótna.
213. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 7 z dymki kolorowej w paseczki, obłożona gładką satyną.
214. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 5 z kretonu granatowego, przybrana kolorowym galonikiem.
215. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 7 z satyny deseniowej, z boków wiązana na wstążeczki.
216. Sukienka dla dziecka od lat 2 do 5 z kretonu białego i białego z granatowym w kratkę.

ARTRETYZM i REUMATYZM

Radykalnie leczy

„Vittel Grande Source”

SÓL NATURALNA { pudełko 12 rurek
 rurka na litr wody

PASTYLKI o przyjemnym smaku

SKŁAD
 GŁ. WNY: **L. Nasierowski i S-ka**

Apteka, Marszałkowska 21, tel. 30-42, 7-31 i 124-39

Sprzedaż we wszystkich aptekach i skła-
 dach aptecznych.

203

217. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z różowego crepe de chine'u, z plisowanymi falbanami. W pasie czarna aksamitka.

218. Suknia z fularu deseniowego, przybrana plisą w jednym kolorze i fantazyjnymi guziczkami.

219. Suknia dla młodej panienci z trykotiny gładkiej i krepowanej deseniowej.

220. Spódnica plisowana z białego szewiotu. Żakiet czarny, wykończony białymi wypustkami.

221. Spódnica z lekkiej wełny, przybrana taśmą.

222. Spódnica z wełny w kratę, układana w kontrafaldy.

223. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z kretonu ponsowego. Wypustki i krawat czarne.

224. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 6 z płócienka gładkiego i w kratkę, przybrana haftem.

225. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 10 z woalu popielatego, wyszywana granatowym.

226. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z różowej markizety, przybrana falbankami.

227. Sukienka dla dziewczynki od lat 3 do 6 z kreponu blade lila, haftowana ciemniejszym lila.

228. Spódnica z wełny w kratę, z dwoma kieszeniami.

229. Spódnica z lekkiej wełny, lub eponge'u.

230. Bluzka z białego płócienka, przybrana materiałem w drobną kratkę.

231. Szlafrok z kreponu, wiązany z boku, wykończony dużymi, dzierganymi zębami.

232. Sukienka dla dziewczynki od lat 12 do 15 z białego crepe de chine'u, bogato haftowana.

233. Deseń na poduszkę — haft kolorowy. Wielkość naturalna 37x42 ct.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie 42 zł. — gr.
 kwartalnie 10 „ 50 „
 miesięcznie 3 „ 50 „

Wraz z arkuszem wzorów do kopjowania o 50 groszy więcej miesięcznie.

Zagranicą:

miesięcznie 7 zł. — gr.
 Wraz z arkuszem wzorów do kopjowania o 1 złoty więcej.

zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.
 1/2 „ 51 „ 75 „
 1/4 „ 29 „ 25 „
 1/8 „ 15 „ 75 „
 1/16 „ 9 „ — „
 1/24 „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku mód nabywać można w Administracji „Bluszczu”.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTYCH MIAR

| Wielkość | obwód piersi | pas | obwód bioder | dług. pleców | dług. spódnicy |
|----------|--------------|-----|--------------|--------------|----------------|
| I | 84 | 64 | 96 | 34 | 75 |
| II | 96 | 68 | 105 | 37 | 85 |
| III | 102 | 72 | 110 | 39 | 95 |
| IV | 114 | 85 | 120 | 40 | 100 |

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

**PIG. CHLOROFILOWE
 GESSNERA**

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.



PIEGI radykalnie usuwa, od 20 lat znany

KREM LANOL

Parfumerie d'Orient - Kalotechnika, Warszawa

237

OLE i wszelkie przybory pszczelnicze
MIÓD w najlepszych gatunkach
WOSK do robót batikowych stale na składzie

ZAKŁAD PSZCZELNICZY

P.F. STEFAN MIESZKOWSKI

WARSZAWA, UL. WSPÓLNA № 36.

206

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”—Długa 9 i l. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.
 Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
 Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40